

**Diane Pershing**

# **Skradzione pocalunki**

## Rozdział 1

– Proszę czekać.

– Ale przecież... – Marc urwał, bo i tak nikt go już nie słuchał. Operatorka włączyła muzykę z taśmy, w ucho ryknął mu modny raper. Marc zaklął pod nosem i odsunął słuchawkę daleko od siebie.

Co to za traktowanie klienta? Powoli zaczynało się w nim gotować.

Oparł się ramieniem o ścianę budki telefonicznej i rozejrzał dookoła. Przed oczami miał główną ulicę miasteczka, obsadzoną drzewami, zadbane fasady domów ze sklepami na parterze i niewielki rynek, na którym wielobarwne klomby otaczały niewielką fontannę z nagim, puciołowatym amorkiem wesoło plującym wodą. Tak, Promise było uroczym, małym miasteczkiem. Podjął słuszną decyzję, przenosząc się tutaj i zaczynając nowe życie jako cywil.

Przynajmniej jeszcze niedawno tak mu się wydawało, ale teraz, kiedy od pół godziny tkwił w tej budce, próbując załatwić sprawę z lokalnym operatorem telekomunikacyjnym, zaczynał w to powątpiewać. Dodzwonił się nawet dość szybko, jednak wciąż musiał czekać na swoją kolej. W regularnych odstępach czasu wrzucał monetę, by się nie rozłączyć i ciągle czekał. Nawet nie miał komu zrobić awantury, bo nikt go nie słuchał.

Raper umilkł i dla odmiany zaczęła zaważać jakaś piosenkarka, zająca się, że ukochany nie odwzajemnia jej uczucia. Wcale mu się nie dziwił, pomyślał sarkastycznie Marc. Gdyby to mnie codziennie tak miauczała nad głową, zerwałbym z nią jeszcze przed pierwszą randką.

Znowu zaklął, a na dobitkę zazgrzytał zębami.

Oho, zaczyna się! Zmusił się do wzięcia kilku bardzo głębokich i bardzo wolnych oddechów, przy każdym licząc w myślach do dziesięciu. Miał temperament choleryka i z całych sił starał się trzymać nerwy na wodzy. Zazwyczaj mu się udawało, ale to był wyjątkowo ciężki dzień, więc jego zasoby cierpliwości skurczyły się niepomniernie. Nigdy zresztą nie były zbyt wielkie...

Potrzebował czegoś, co odwróci jego uwagę od jałowego wyczekiwania.

I oto, jak na zawołanie, zjawiała się kobieta. Szła szybko w jego kierunku. Kiedy ją zauważył, znajdowała się jakieś sto metrów od niego. Jego wzrok przyciągnęły jej włosy – kręcone i jasnorude – które w świetle porannego słońca zdawały się otaczać twarz świetlistą aureolą. Szła tak zdecydowanie, że sprężyste loki podskakiwały przy każdym kroku. Marc uśmiechnął się na ten widok. To był jego

pierwszy uśmiech tego dnia.

Nieznajoma przeszła na drugą stronę ulicy. Miała na sobie prostą, białą bluzkę, czarne spodnie i tenisówki. Była szczupła, raczej średniego wzrostu. Zaciekało go przelotnie, dokąd ona tak się spieszy. Gdy zbliżyła się jeszcze bardziej, ujrzał dość przeciętną twarz, nieco zarumienioną. Kobieta łapała powietrze rozchylonymi ustami, jakby biegła przez część drogi i dopiero niedawno zwolniła kroku.

Pod trzydziestkę, ocenił, gdy dystans między nimi zmniejszył się jeszcze bardziej. Zero makijażu, duże brązowe oczy, naprawdę ładne, nieduży nosek, piegi.

Szła prosto na niego, więc odwrócił się, by sprawdzić, do jakiego sklepu kierowała swoje kroki. Ku wielkiemu zaskoczeniu ujrzał napis: artykuły żelazne. Potrzebna jej wiertarka, żeby wiercić chłopu dziurę w brzuchu, zażartował w myślach. Gdy odwrócił głowę z powrotem, stwierdził z jeszcze większym zdziwieniem, że zdyszana i zarumieniona nieznajoma stanęła przed budką telefoniczną i wpatruje się w niego z dziwnym wyrazem twarzy – zdenerwowanym i niezdecydowanym jednocześnie.

Bez słowa uniósł brew i czekał.

Kobieta zagryzła dolną wargę drobnymi, białymi ząbkami.

– Przepraszam pana najmocniej – odezwała się w końcu.

– Za co? – spytał uprzejmie.

W słuchawce odezwał się mechaniczny głos operatorki:

– Proszę czekać. Proszę czekać.

Tym razem w ogóle się tym nie przejął. Większa część życia upływa nam na czekaniu na coś, pomyślał filozoficznie. W tej chwili bardziej zajmowało go dziwne zachowanie nieznajomej.

Znowu zagryzła dolną wargę, a potem zwilżyła językiem usta. Bardzo ładne usta, uzupełnił w myślach. Pełne. Ponętne. Nic dziwnego, że na widok damskiego języka przesuwającego się po obiecujących wargach jego ciało zareagowało w typowo męski sposób.

Spokojnie, przykazał sobie. Nie ma co się ekscytować, ta kobieta nie próbuje przecież flirtować, jest zbyt zdenerwowana.

Obserwował ją dalej i czekał. Lata doświadczeń w przesłuchiowaniu podejrzanych nauczyły go, że mało kto potrafi znieść dłuższą ciszę. Prędzej czy później człowiek zaczyna mówić cokolwiek, byleby tylko coś powiedzieć.

Kobieta zmarszczyła piegowaty nosek i powiedziała przeproszającym tonem:

– Widzi pan... Potrzebny mi ten telefon.

Marc uprzejmie skinął głową.

– Nie ma sprawy. Gdy tylko skończę, będzie mogła pani korzystać z niego do woli.

Kobieta zerknęła na zegarek.

– Ale ja potrzebuję teraz.

Ton jej głosu wciąż był grzeczny i przepraszający, ale pojawiła się w nim nagła nuta. To natychmiast wzmogło zaciekawienie Marca.

– Dlaczego?

Nieznajoma zamiast odpowiedzieć, spytała:

– Może mi pan odstąpić ten telefon?

– Niestety, nie. – Wskazał na drugą stronę rynku.

– Tam ma pani dwa inne automaty.

– Kiedy to musi być ten – upierała się nieznajoma.

– To naprawdę ważne.

Co za dzień, pomyślał Marc z nagłą irytacją. Czy naprawdę nic nie może iść normalnie?

Firma przeprowadzkowa miała dzień opóźnienia, w związku z czym łóżko nie dotarło na czas i po osiemnastu godzinach ciągłej jazdy Marc musiał spać na podłodze. Tego ranka nie zdążył zjeść śniadania, co ani trochę nie poprawiało mu humoru. Nie dostał jeszcze służbowej komórki, a w nowym mieszkaniu nie zainstalowano telefonu stacjonarnego. To dlatego tkwił w budce jak idiota, próbując dodzwonić się do operatora i zamówić założenie linii. A na koniec, gdy naczekał się już za wszystkie czasy, jakaś kobieta nalega, by pozwolił jej skorzystać akurat z tego samego telefonu, chociaż w okolicy było kilka innych.

Trudno, to jej problem. Miał dość własnych zmartwień, by jeszcze przejmować się cudzymi.

– Przykro mi – oznajmił zdecydowanie. – To też jest ważne. Czekam na załatwienie mojej sprawy. Jeśli teraz się rozłączę, potem znów trafię na koniec kolejki.

Wie pani, jak to jest.

W jej brązowych oczach pojawiło się życzliwe zrozumienie.

– Oj, wiem. Nie cierpię, gdy ktoś każe mi czekać.

Zgodnie pokiwali głowami, jakby chcieli powiedzieć: co za czasy, i uśmiechnęli się do siebie, jak czyni to para nieznajomych, gdy znajdują wspólny temat.

Marcowi natychmiast poprawił się humor. Jej twarz, rozjaśniona uśmiechem, już nie wydawała mu się przeciętna – przeciwnie. Ta kobieta była naprawdę

atrakcyjna. I wyglądała na bardzo miłą. Potwierdzała się opinia, że ludzie z małych miasteczek są sympatyczni i życzliwi. Tak, podjął słuszną decyzję, przyjeżdżając do Promise.

– Proszę się nie martwić, zajmie mi to jakieś pięć minut, najwyżej dziesięć – zapewnił uprzejmie.

Uśmiech znikł z jej twarzy tak nagle, jakby go ktoś zdmuchnął.

– Ale ja nie mam czasu!

No i proszę, jak pozory mogą mylić, skwitował w duchu.

– Ja też nie, proszę pani – zakomunikował sucho. – Muszę załatwić podłączenie telefonu stacjonarnego i muszę to zrobić jak najszybciej zarówno z powodów służbowych, jak i osobistych. W dodatku byłem tu pierwszy. Proszę więc łaskawie iść do innego automatu, dobrze?

– Nie – odparła twardo. – Nie mogę.

Marc przestał opierać się o ścianę budki, wyprostował się powoli na całą wysokość swoich stu dziewięćdziesięciu dwóch centymetrów i wbił w nieznośną kobietę swoje legendarne spojrzenie, które doprowadził do perfekcji w ciągu piętnastu lat służby w piechocie morskiej. Przy czym ostatnie pięć lat było tu szczególnie pomocne, ponieważ spędził je w specjalnej jednostce śledczej.

Ów szczególny sposób patrzenia powodował, że dziewięćdziesiąt pięć procent delikwentów zaczynało trząść się ze strachu. Pozostałe pięć procent było zbyt ogłupione nadmierną pewnością siebie, by zrozumieć groźbę czającą się we wzroku Marca i wziąć ją na serio. Z tymi radził sobie szybko za pomocą argumentacji... ręcznej, choć nie lubił stosować przemocy i uciekał się do niej wyłącznie wtedy, gdy stawało się to konieczne. Zazwyczaj sama jego postura działała onieśmielająco, więc wystarczyło dołożyć złowrogie spojrzenie i sprawa była załatwiona.

Teraz też czekał, aż jasnoruda zblednie, przeprosi i wycofa się szybko.

Tymczasem ona, owszem, na moment może i zbladła, ale na tym koniec. Nie, nawet gorzej – skrzyżowała ramiona i spojrzała Marcowi prosto w oczy. Nie zamierzała ustąpić, to było oczywiste.

A więc jego spojrzenie nie wywarło na niej większego wrażenia. To go ubodło. Nie do żywego, oczywiście, ale zawsze. Ważniejsze jednak było co innego – czemu tak się upierała przy swoim żądaniu? Co się za tym kryje?

Marc zapominał o pechowym dniu i wszedł w rolę oficera śledczego.

– Mógłbym zmienić zdanie i pójść pani na rękę, gdyby wytłumaczyła mi pani, czemu to dla pani takie ważne – zaproponował.

Kobieta spuściła wzrok, a Marc od razu wyczuł, że skłamię. Po prostu wiedział takie rzeczy.

– Widzi pan, czekam na telefon od... od przyjaciółki, która jest w Anglii. Umówiliśmy się, że zadzwoni do tej konkretnej budki. Dokładnie o dziesiątej rano. To znaczy, naszego czasu, bo tam jest... no...

– Późne popołudnie.

– Właśnie – ucieszyła się. – A moja przyjaciółka pracuje, ale akurat będzie miała przerwę i spróbuje zadzwonić, ale jak usłyszysz, że numer jest zajęty...

– Niech pani przestanie wciskać mi kit – przerwał ostro – i poda prawdziwy powód.

W odpowiedzi zacisnęła usta. W tym momencie minęły ich dwie kobiety, obie krótko ostrzyżone, blondynka i brunetka.

– Cześć, Hallie – rzuciła brunetka.

Nieznajoma odwróciła głowę z roztargnionym uśmiechem.

– Cześć, Joannie.

Brunetka przeniosła spojrzenie na Marca, a potem znów na swoją znajomą.

– Zadzwonisz później?

– Tak – obiecała Hallie.

Hallie... Ładne imię, pomyślał bezwiednie Marc.

Kobiety poszły dalej, a muzyka w słuchawce zmieniła się ponownie. Teraz leciał jeden z przebojów Rolling Stonesów, akurat ulubiony kawałek Marca. Kiwając głową do taktu, spytał:

– Hallie, powie mi pani wreszcie, o co chodzi?

– Skąd pan wie, jak mam... – urwała, uprzymiawiając sobie, skąd zna jej imię.

– Tak przy okazji, ja jestem Marc.

– Miło mi – odparła automatycznie, niczym dobrze wychowana panienska.

Wyciągnęła rękę, sądził więc, że chce mu ją podać, skoro nastąpiło coś w rodzaju prezentacji, tymczasem ona błyskawicznie sięgnęła po słuchawkę!

Prawie jej się udało wywieść go w pole. W ostatniej chwili odepchnął ją łokciem, nie bawiąc się w uprzejmości. Gdyby tego nie zrobił, mogłaby nacisnąć widełki i rozłączyć go.

– Czy pani zwariowała? – huknął.

Hallie czuła się strasznie. Nie zamierzała zadzierać z tym ogromnym mężczyzną o zrosniętych nad czołem brwiach i srogim spojrzeniu. Wyglądał naprawdę groźnie, w dodatku rzeczywiście jemu przypadło pierwszeństwo w

korzystaniu z aparatu. Niestety, list wyraźnie określał, gdzie i kiedy Hallie ma odebrać telefon. Budka na rynku przed sklepem z artykułami żelaznymi. Punkt dziesiąta. W tej sytuacji naprawdę nie miała wyjścia.

Co robić, myślała z desperacją, podczas gdy mężczyzna imieniem Marc piorunował ją wzrokiem i czekał, aż ona wytłumaczy się ze swojego skandalicznego zachowania. Co robić?

Jej spojrzenie padło nagle na podniszczoną skórzaną teczkę, która stała między stopami nieznanego. Niewiele myśląc, schyliła się, chwyciła ją w obie ręce i zaczęła uciekać.

– Hej, chwileczkę! – usłyszała za sobą gniewny męski głos.

Przestraszyła się, ale nie porzuciła łupu. Ona, która nigdy w życiu w żaden sposób nie naruszyła prawa! Jednak dziś sytuacja była wyjątkowa, więc cel uświęcał środki, trudno.

Dobiegło ją stłumione przekleństwo. Zerknęła przez ramię. Marc wybiegł z budki i rzucił się za nią w pościg. Słuchawka wisiała luźno. Widząc to, Hallie wzięła duży rozmach i rzuciła teczkę, jak mogła najdalej w głąb zaułka przy kwaciarni. Mężczyzna pobiegł w tamtym kierunku, by odzyskać swoją własność, a tymczasem Hallie pomknęła z powrotem do telefonu. Wepchnęła słuchawkę na widełki, przerywając połączenie i zacisnęła na niej obie dłonie. Zadzwoń, poprosiła w myślach, bo olbrzym zbliżał się ku niej z wyciągniętym złowrogo palcem.

– Zadarła pani z niewłaściwą osobą – warknął takim tonem, jakby wypowiadał komuś wojnę.

– Proszę mi wierzyć, gdyby to nie było naprawdę ważne, nie zrobiłabym tego – broniła się.

Potężna dłoń opadła na jej bark.

– Powinienem teraz panią zaaresztować.

– Zaaresztować?

– Tak. Ja tu reprezentuję prawo. – Bezceremonialnie pociągnął ją za ramię.

Hallie z całej siły przywarła do słuchawki, nie dając się od niej oderwać.

– To boli!

Puścił ją natychmiast, odgadła więc, że doskonale zdawał sobie sprawę ze swojej siły i pilnował się, by kogoś nieopatrznie nie skrzywdzić.

Wskazał kciukiem swoją szeroką pierś.

– Jestem nowym komendantem policji w tym mieście – wycodził z furią przez zaciśnięte zęby. – Właśnie przyjechałem.

– Och! I jak się panu u nas podoba? – odparła odruchowo.

Omal nie zaczęła chichotać, bo zabrzmiało to idiotycznie, lecz Marc nawet się nie uśmiechnął. Z powrotem wycelował w nią palcem, więc Hallie znów zaczęła błagać w myślach telefon, by się odezwał. Nie miała pojęcia, jak długo uda się jej bronić przed rozwścieczonym nowym szefem policji.

– Jak wsadzę panią do aresztu, to odechce się pani żartów.

– Ale przecież ja nic takiego nie zrobiłam!

– Nic? Ukradła pani moją teczkę.

– Wcale nie. Ja ją tylko... przeniosłam w inne miejsce. Nic się nie stało.

Drrrrri!

Oboje drgnęli. Hallie błyskawicznym gestem podniosła słuchawkę i przycisnęła ją do ucha, jednocześnie odwracając się plecami do przedstawiciela prawa.

– Hallie Fitzgerald? – odezwo się po chwili stłumiony męski głos.

Serce waliło jej w piersi.

– Tak.

– Jak chcesz to odzyskać, musisz zapłacić.

Za jej plecami panowała niczym niezmacona cisza, Hallie domyśliła się więc, że Marc słucha uważnie.

– To znaczy? – spytała, starając się, by zabrzmiało to zupełnie naturalnie.

– Dwadzieścia pięć tysięcy dolców.

– Co?

– I żadnej policji, żadnego FBI, nic z tych rzeczy. Zrozumiałas?

– Oczywiście – zapewniła lekkim tonem, myśląc jednocześnie o komendancie policji, próbującym podsłuchać tę rozmowę. – Skąd jednak mogę mieć pewność, że...

– Dwadzieścia pięć patoli albo więcej tego nie zobaczysz – przerwał jej głos w słuchawce.

Zaśmiała się perliście, nadal udając na użytek podsłuchującego, że to zupełnie niewinna rozmowa.

– To naprawdę dużo pieniędzy.

– Rusz głową i znajdź kasę – uciął ostro szantażysta i rozłączył się.

Hallie poczuła się kompletnie bezradna. Równie dobrze można było zażądać od niej miliona – nie zrobiłoby to najmniejszej różnicy. I tak nie posiadała żadnych oszczędności. Ledwo wiązała koniec z końcem. Oba budynki, dom i muzeum, wymagały remontu, więc nawet gdyby miała cokolwiek, musiałyby wszystkie wolne środki przeznaczyć na niezbędne naprawy. W dodatku skąd mogła wiedzieć, czy szantażysta naprawdę ma jej rzeczy? Zakończył rozmowę, zanim zdążyła



zażądać jakiegoś dowodu.

Ktoś postukał ją palcem w ramię. Podskoczyła, odwróciła się gwałtownie i spojrzała na Marca, o którym na moment zdążyła zapomnieć. Nadal popatrywał na nią srogo, ale teraz w jego wzroku widniało też zaciekawienie.

Po raz pierwszy zwróciła uwagę na jego oczy – bardzo jasne, orzechowe, z zielonymi i szarymi cętkami. Rzęsy miał grube i czarne, podobnie jak brwi i włosy. Na mocno zarysowanej szczęce już o dziesiątej rano widniał ciemny ślad odrastającego zarostu. Krótko, po wojskowemu obcięte włosy dodatkowo podkreślały surowe rysy męskiej twarzy o wydatnych kościach policzkowych. Wydawało się, jakby składał się z samych kątów i linii prostych, jakby nie było w nim żadnej łagodności.

Idealny materiał na szefa policji.

Gdy Hallie przypomniała sobie, kogo ma przed sobą, zrobiło się jej niewyraźnie.

– Proszę – powiedziała tak pogodnie, jak tylko zdołała i wcisnęła mu słuchawkę do ręki. – Może pan teraz zadzwonić.

Nie czekając na odpowiedź, oddaliła się szybko. W środku cała się trzęsła. Co on zrobi? Pobiegnie za nią i zaaresztuje? A może machnie ręką na całe zdarzenie i da sobie spokój?

Po co próbowała zmyślać o tej przyjaciółce w Anglii? Tylko pogorszyła sytuację, on nie uwierzył w ani jedno słowo. I trudno mu się dziwić, przecież nigdy nie umiała kłamać – w odróżnieniu od swojej kuzynki, Trący, która potrafiła łącać jak z nut. Hallie chciałaby mieć odrobinę takiego talentu, oczywiście nie za dużo. Tak troszeczkę, w sam raz.

– Hej, proszę pani! – zawołał za nią Marc.

Zamarła, po czym odwróciła się powoli, spodziewając się najgorszego.

– Tak? – pisnęła słabo, jak mała polna mysz złapana w pułapkę.

Zawahał się, a potem machnął ręką.

– Nic takiego – mruknął.

Sięgnął po słuchawkę, wrzucił do aparatu kilka monet i wybrał numer. Tym razem nie postawił teczki na ziemi, ale na wszelki wypadek trzymał ją mocno pod pachą. Na Hallie nie zwracał już uwagi.

Tymczasem Hallie otworzyła nawet usta, by przeprosić za to całe zamieszanie, ale w końcu nic nie powiedziała. Lepiej do tego nie wracać i nie prowokować niepotrzebnej rozmowy. Choć tak naprawdę bardzo chętnie zwierzyłaby się nowemu znajomemu ze swego problemu, bo ten groźny człowiek z

niezrozumiałych przyczyn budził jej zaufanie. Niestety, był ostatnią osobą, której mogłaby wszystko opowiedzieć. Żadnej policji, ostrzegął szantażysta.

Z westchnieniem zawróciła do domu. Czuła się rozpaczliwie smutna i samotna. O, jakże brakowało jej teraz babci! To na nią zawsze mogła liczyć, odkąd rodzice zginęli w wypadku, gdy Hallie miała zaledwie pięć lat. Niestety, babcia zmarła przed rokiem. Ta strata wciąż była świeża i bolesna. Dziadka też jej brakowało, ale on odszedł nieco wcześniej i już zdążyła oswoić się z jego nieobecnością.

Po śmierci dziadków z rodziny została jej tylko ciocia Julia i córka ciotki, kuzynka Trący. Pierwsza jak zwykle bawiła nie wiadomo gdzie, wędrując w poszukiwaniu sensu życia od mistrzów duchowych do psychoanalityków i z powrotem, a druga przed miesiącem wyjechała do San Francisco i od tej pory nie dawała znaku życia. Hallie martwiła się o młodszą o dziesięć lat kuzynkę, ponieważ zaledwie dziewiętnastoletnia Trący odziedziczyła po matce nie tylko zamiłowanie do podróży, ale i olbrzymią naiwność. Obie bezkrytycznie wierzyły w rzekomo wspaniałe pomysły innych ludzi i z entuzjazmem angażowały się w jakieś poronione przedsięwzięcia.

Hallie kochała swoją postrzeloną kuzynkę, chociaż różniły się jak ogień i woda. Wielka szkoda, że Trący wyjechała, Hallie przynajmniej nie byłaby sama z tym potwornym zmartwieniem.

Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów!

Na samo wspomnienie tej sumy zrobiło się jej najpierw zimno, a potem gorąco. Nogi ugięły się pod nią. Jakim cudem zdobędzie tyle pieniędzy? Opcja, by uznać żądania szantażysty za niemożliwe do spełnienia, w ogóle nie wchodziła w rachubę. Hallie musiała odzyskać swoje rzeczy.

Po prostu musiała.

## Rozdział 2

– Tak, Joannie – powtórzyła cierpliwie Hallie, krzątając się po pokoju i przyciskając słuchawkę barkiem do policzka. – To nasz nowy szef policji i naprawdę nigdy wcześniej go nie widziałam.

– Ciekawe – wycedziła wymownie przyjaciółka na drugim końcu linii. – Dałabym głowę, że coś między wami jest.

– Kup sobie okulary, bo źle widzisz – skwitowała Hallie.

Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Właśnie zapadał zmrok i zapalały się staroświeckie latarnie wzdłuż ulicy. Gdyby w jej duszy mógł panować podobny spokój... Hallie z westchnieniem zaciągnęła zasłony.

– Kawał chłopca – ciągnęła Joannie. – Tom mówi, że to były wojskowy, więc wszyscy w robocie zastanawiają się, czy on aby nie wprowadzi wojskowego drylu. Co o tym myślisz?

– A co ja mogę myśleć? Przecież nic o nim nie wiem, ledwo zamieniłam z nim dwa słowa. Ile razy mam ci to mówić?

Hallie starała się, by jej głos brzmiał na tyle pogodnie, na ile było to możliwe. Gdyby Joannie wyczuła jej zdenerwowanie, przejęłaby się ogromnie i natychmiast zaczęłaby wypytywać o przyczyny. Od przedszkola była najbardziej oddaną i lojalną przyjaciółką. Gdy poprzedniego ranka Hallie odkryła, że włamano się do muzeum i skradziono część eksponatów, najpierw zadzwoniła właśnie do Joannie, która przyjechała natychmiast i spędziła z nią cały dzień. Co więcej, mąż przyjaciółki, oficer policji, poprosił o przydzielenie mu tej sprawy, dzięki czemu Hallie miała wsparcie już dwóch życzliwych osób.

Sprawiłoby jej ulgę, gdyby mogła zwierzyć się Joannie, opowiedzieć o żądaniu okupu i zasięgnąć jej rady. Niestety, przyjaciółka powtórzyłaby wszystko Tomowi, ponieważ nigdy nie miała przed mężem żadnych sekretów. A złodziej wyraźnie zabronił Hallie wtajemniczenia w sprawę policji.

– No, a co myślisz o tym, że to kawał chłopca? – naciskała Joannie. – Możesz go sobie nie znać, ale chyba zdążyłaś mu się przyjrzeć, nie? Chyba nie straciłaś do końca zainteresowania facetami?

– Nie przyglądałam mu się aż tak dokładnie. – Hallie nerwowo porządkowała rzeczy leżące na stoliku. – Jeśli tobie się podoba, to w porządku. Dla mnie jest za... wielki. Robi za duże wrażenie.

– Ooo... Wielki i robi wrażenie – powtórzyła dwuznacznym tonem Joannie. –

To zabrzmiało bardzo seksownie.

– Och, daj spokój – zachnęła się lekko Hallie. Wiedziała oczywiście, że Joannie celowo żartuje i podpuszczają, by oderwać myśli przyjaciółki od kradzieży, ale chwilowo nie dopisywało jej poczucie humoru. Była zbyt przybita koniecznością zapłacenia okupu. – Jak tam moja chrześnica? Zaczęła w końcu mówić?

– Nie zmieniaj tematu.

– Nie zmieniam. Tamten po prostu został wyczerpany. No, odpowiadaj.

– Jeśli uznasz gulgot za mowę, to tak, już mówi. Zlituj się, czego ty oczekujesz od pięciomiesięcznego dziecka? Może powinna już śpiewać?

– Nie, mnie wystarczy sam jej wygląd. Jest taka śliczna... Mogłabym patrzeć przez cały dzień na jej słodką twarzyczkę.

Joannie wybuchła śmiechem.

– Zapewniam cię, że to z kolei jej by nie wystarczyło. Karmienie, kąpanie, przewijanie, pakowanie się jak na wojnę, gdy trzeba z nią gdzieś pojechać...

– Ale przecież za nic byś się nie zamieniła.

– Nie. Zresztą, sama się przekonasz, jak to jest, gdy będziesz miała własne dziecko.

Gdy będzie miała własne dziecko... Hallie marzyła o mężu i dziecku, a nawet o całej gromadce dzieci, ale na razie jakoś nie zanosilo się na realizację tych planów. Z ciężkim sercem podeszła do okna od frontu, żeby je zasłonić, a wtedy zobaczyła nadjeżdżający ciemny samochód, który naraz zwolnił, zjechał na bok i zaparkował na wprost okna. Z roztargnieniem przyglądała się, jak ktoś z niego wysiada, rzuca okiem na trzymany w ręku papier, a potem podnosi wzrok na jej dom. Przeżyła wstrząs, rozpoznając nowego komendanta policji.

– Hallie? – dobiegł ją zatroskany głos Joannie. Mruknęła coś półprzytomnie.

– Pytałam, czy wszystko w porządku, bo...

– Słuchaj, muszę kończyć – przerwała przyjaciółce niemal w pół słowa. – Zadzwoń jutro!

Odłożyła telefon, zasłoniła okno, zgasila lampę, po czym uderzyła się dłonią w czoło i zapaliła lampę z powrotem. Nonsens, nie ma co gasić światel w całym domu i udawać, że nikogo nie ma, na to jest już za późno.

Po co on tu przyjechał? Może ma jakieś nowe wiadomości w związku z włamaniem do muzeum? A jeśli jakimś cudem dowiedział się o żądaniu okupu?

Nie, tylko nie to...

Marc nie od razu zapukał do drzwi. Potrzebował chwili, by zebrać się w sobie.

Dziwne, to jeszcze nigdy mu się nie zdarzyło. Próbując zyskać na czasie, rozejrzał się dookoła. Na frontowej werandzie znajdowały się dwa bujane fotele, nieźle podniszczone. Przydałoby się wymienić kilka desek w podłodze. I trochę gontów w zapadającym się dachu.

Zaschło mu w ustach. Gdyby nie znał siebie lepiej, przysięgłby, że trochę się denerwuje. Nie, to niemożliwe. Czym miałyby się denerwować? To tylko zwykła, oficjalna wizyta przedstawiciela prawa. Oficjalna wizyta, powtarzał sobie, wpatrując się w kołatkę na drzwiach Hallie Fitzgerald. Czemu więc nie czuł się tak swobodnie jak zawsze?

Pewnie z przemęczenia. W końcu miał za sobą ciężki dzień, wyczerpującą jazdę i przeprowadzkę. Powinien być teraz w swoim nowym domu, rozpakować rzeczy i urządzić się jakoś, a tymczasem musiał przyjechać do poszkodowanej, która padła ofiarą kradzieży.

Właściwie zaczynał nową pracę dopiero następnego dnia, ale tego popołudnia wpadł na chwilę do komendy, gdzie pokazano mu areszt, przedstawiono paru podwładnych i zaprowadzono do gabinetu z widokiem na ocean. Na biurku już czekały akta z prowadzonymi aktualnie sprawami. Zajrzał do leżącej na wierzchu teczki zawierającej dane najświeższej sprawy. Poprzedniego dnia, w niedzielę, właścicielka małego lokalnego muzeum odkryła, że skradziono część kolekcji, chociaż nie było żadnych śladów włamania. Nazwisko poszkodowanej brzmiało Hallie K. Fitzgerald.

Proszę, proszę, pomyślał Marc, przypominając sobie kobietę o świetlistych włosach i pięknym uśmiechu. W zamyśleniu obrócił się razem z fotelem i zapatrzył się w zalany słońcem ocean. Proszę, proszę...

W rezultacie kilka godzin później stał przed jej drzwiami – choć co do tego nie miał całkowitej pewności, wszak mogła to być tylko przypadkowa zbieżność imion. Miał jednak nadzieję, że chodziło o tę samą Hallie. To dziwne, ale chciał ją znów zobaczyć, chociaż po porannym spotkaniu powinien mieć jej serdecznie dosyć. A nie miał. Zainteresowała go. Cóż, prawdę powiedziawszy, spodobała mu się, chociaż nie była w jego typie.

Przed przyjściem tutaj ogolił się ponownie, czego zazwyczaj nie robił. Dziwne. Naprawdę nie wiedział, co o tym sądzić.

Wyprostuj się i do dzieła, odezwał się w jego głowie surowy głos ojca. Słyszał to przez całe dzieciństwo. Ojciec wiecznie go musztrował. Przestań się tak guzdrać, nie szukaj wykrętów, nie kombinuj. Nie myśl, tylko zrób, co masz do zrobienia. Jak zrobisz, weź się za następną rzecz. Jazda!

Marc odruchowo wyprostował się, przepisowo ściągnął łopatki i zdecydowanie zapukał do drzwi. Tak, zrobi, co ma do zrobienia. Porozmawia przez chwilę z poszkodowaną najzupełniej służbowo, a potem zabierze się stąd. Jak wszystko dobrze pójdzie, ona pomyśli, że to rutynowe postępowanie w podobnych sprawach.

Nie tyle otworzyła mu drzwi, co uchyliła je lekko. Na początku ujrzał więc jedynie czubek głowy, ale to wystarczyło, by się upewnił, że dobrze trafił. Oczywiście, to była ona, Marc rozpoznałby te włosy nawet na końcu świata. Teraz miała je związane w koński ogon, lecz kilka rudych sprząnek wymknęło się spod szerokiej gumki i podskakiwało wokół twarzy.

Hallie Fitzgerald najpierw spojrzała na jego tors, jakby spodziewała się ujrzeć kogoś niższego i dopiero potem jej wzrok powoli – jakby z ociąganiem – powędrował ku twarzy gościa. Jej ładne, brązowe oczy wydawały się jeszcze większe i ciemniejsze niż rano, a twarz była chyba bledsza.

Marc miał talent do odczytywania emocji z ludzkich twarzy, ale w tym wypadku żaden specjalny talent nie był konieczny. Nawet ślepy by się zorientował, że ta kobieta się boi. Ale czego? Przecież nie Marca, udowodniła to rano, mężnie stawiając czoło jego najsroższemu spojrzeniu, którego nie wytrzymywali najwięksi zabijacy i przestępcy.

– Pani Fitzgerald?

– Tak.

Wpatrywała się w niego, wyraźnie spięta. Czekał, aż go zaprosi do środka, lecz nic takiego nie nastąpiło. Kobieta tylko patrzyła i milczała.

Marc odchrząknął.

– Jestem Marc Walcott, nowy komendant policji, Spotkaliśmy się dzisiaj rano.

– Tak? – Zabrzmiało to na poły jak potwierdzenie, na poły jak pytanie.

– Mogę wejść?

Przysięgłby, że miała ochotę odmówić. Po chwili wahania z ociąganiem skinęła głową i otworzyła drzwi na oścież.

Za krótkim korytarzykiem znajdował się niewielki salon. Marc ogarnął całość jednym szybkim spojrzeniem. Wnętrze było przytulne, choć i tu dawało się dostrzec brak pieniędzy. Kwieciste obicia wygodnego fotela i dwóch kanap wypływały i nie zostały wymienione. Na ścianach wisiały amatorskie pejzaże, nieprzedstawiające żadnej wartości.

Marc ponownie skupił uwagę na gospodyni, która tymczasem zamknęła drzwi i przyglądała mu się takim wzrokiem, jakim rodzina chorego patrzy w szpitalu na zbliżającego się lekarza, spodziewając się jak najgorszych wieści.

– Jak się pani czuje? – zatroszczył się. – Wszystko w porządku?

Zastanowiła się.

– To zależy.

– Od czego?

– Od tego, z czym pan przyszedł. Teraz on się zastanowił.

– A, chodzi pani o powód mojej wizyty?

– Tak.

Widać Hallie jak większość ludzi uważała, że niespodziewana wizyta policjanta musi stanowić wstęp do jakichś nieprzyjemności. Nie mógł jej za to winić, ale... Ale w głębi duszy poczuł żal. Miał cichą nadzieję, że ona też chętnie zobaczy go ponownie. Szybko odsunął od siebie te myśli, uznając je za szczeniackie i niepoważne. Wyprostuj się! Nie myśl, tylko działaj!

– Proszę się nie martwić, to tylko rutynowa kontrola.

– Kontrola? – zdziwiła się.

– Tak. Upewniam się, że zostało zrobione wszystko, co powinno zostać zrobione w takiej sytuacji.

Nie zabrzmiało to przekonująco. Tutejsi policjanci znali się na rzeczy. Spisano szczegółowy protokół, sporządzono kompletną listę skradzionych rzeczy, zabezpieczono odciski palców w całym muzeum, przesłuchano drobiazgowo sąsiadów.

A więc tak naprawdę nie miał tu nic do roboty – zwłaszcza że jako szef policji nie zajmował się osobiście prowadzeniem spraw. Jego obowiązki dotyczyły głównie kwestii administracyjnych. Miał sprawnie zarządzać całością, a nie rozmieniać się na drobne.

Skoro już koniecznie chciał przyjrzeć się z bliska jakiejś konkretnej sprawie, to miał jeszcze wiele innych do wyboru – choćby kolizje drogowe, ucieczki z miejsca wypadku czy przemoc w rodzinie. On jednak wybrał akurat tę, dzięki której mógł znowu zobaczyć uroczą Hallie Fitzgerald.

Niedobrze. Zaczynał nową pracę od mieszania przyjemności i spraw służbowych. Aczkolwiek chwilowo przyjemności było w tym tyle, co kot napłakał, przynajmniej dla niej.

– Rozumiem... – powiedziała cicho, po czym nagle rozjaśniła się. – Och, przepraszam, z tego wszystkiego zupełnie zapomniałam o dobrych manierach!

Proszę, niech pan usiądzie. Napije się pan czegoś? Kawy, herbaty? Może ma pan ochotę na pierniczki?

Tak, rano nie mylił się co do niej. Była życzliwa, serdeczna, pełna ciepła. Może

dlatego chciał ją znowu zobaczyć. Trudno przecież nie poczuć sympatii do kogoś tak miłego.

Kogoś, kto ma bardzo ładne usta...

– Jeśli mam być szczery, to z przyjemnością napiłbym się kawy.

– W takim razie zapraszam do kuchni. Zaraz zaparzę.

Poszedł za nią, korzystając przy tym z okazji, by rzucić okiem na pewną część jej ciała. Hallie nosiła czerwony dres, więc dość trudno mu było ocenić jej figurę, z pewnością trudniej niż gdyby miała na sobie dopasowane spodnie, ale Marc i tak widział, że miała zgrabne biodra i kształtne pośladki.

No, tak. Przed chwilą myślał o jej ustach, teraz o czym innym. A przecież przyszedł tu jako szef policji, nie jako mężczyzna, który chce się pogapić na ładną kobietę. Pewnie wszystko przez to, że od ładnych kilku miesięcy z nikim się nie spotykał.

Mam szczęście, pomyślała Hallie. Skoro to tylko rutynowa kontrola, nie ma się co martwić. O włamaniu może rozmawiać, proszę bardzo. Byleby tylko nie zeszło na poranną awanturę z telefonem.

Nastawiła ekspres do kawy i wyjęła z metalowej puszki trochę pierniczków. Kątem oka widziała, jak komendant siada za okrągłym stołem, bardzo wiekowym i nieco już chwiejnym. Rozłożył przed sobą papiery i pochylił się nad nimi. Hallie miała wrażenie, że jego ogromna postura wydaje się dodatkowo pomniejszać i tak niewielką kuchnię. Miała rację. Był za wielki.

– Lista skradzionych przedmiotów jest dość długa – zauważył Marc. – Muszą być sporo warte.

– Tak. I nie chodzi tylko o pieniądze.

Hallie wyjęła z szafki filiżanki do kawy.

– Tu jest napisane, że te rzeczy nie zostały zabrane stąd, z pani domu, tylko z muzeum.

– Owszem. Muzeum znajduje się tuż obok, na tyłach posesji. Dawniej było na odwrót, tam był front, a ten domek znajdował się z tyłu. Chce pan, żebym pana tam zaprowadziła?

– Chętnie, ale pozwoli pani, że najpierw napiję się kawy. To mi dobrze zrobi, przeprowadzka może człowieka wykończyć.

Ze współczuciem pokiwała głową.

– Tak, wspominał pan rano o ciężkim dniu. No i jak się panu udało? Załatwił pan ten telefon? – spytała życzliwie, po czym nagle dotarło do niej, co powiedziała. Czemu porusza sprawę tego nieszczęsnego telefonu? Co ty wyprawiasz, niemądra



kobietę, skarciła się w myślach.

– Tak.

– To dobrze.

Już zamierzała go odruchowo przeprosić za swoje zachowanie, ale na szczęście tym razem w porę zdołała się pohamować. Przeprosiny pociągną za sobą konieczność udzielenia wyjaśnień, a to oznacza wikłanie się w kolejne kłamstwa, a co za tym idzie, w nowe kłopoty.

– Upiekłam je w sobotę, ale pierniczki długo są dobre – powiedziała pospiesznie, by zmienić temat, i postawiła na stole talerz z ciastkami.

Marc sięgnął po jedno i chwilę później z uznaniem pokiwał głową.

– Pyszne. Nie ma to jak domowe ciasto.

Zrobiło się jej bardzo przyjemnie.

– Czyli tak... – Marc ponownie pochylił się nad papierami. – Skradziono zabytkowe srebra, kilkanaście rzadkich książek, jeden duży gobelin, rzeźbiony drewniany parawan, parę figur religijnych i kolekcję starych lalek. I trochę niewielkich, lecz rozumieć, że wartościowych przedmiotów. Na szczęście ma pani wszystko sfotografowane, co nam bardzo pomoże.

– Musiałam zrobić zdjęcia ze względu na ubezpieczenie – wyjaśniła.

– Wymieniła pani jednak jeszcze jedną rzecz i przyznam się, tego nie rozumiem – ciągnął Marc. – Album z wycinkami?

– To nie jest zwykły album z wycinkami. On ma ogromną wartość. To znaczy, wartości rynkowej nie ma praktycznie żadnej... Och, chwileczkę! Pan słodzi? Może mleczka do kawy?

– Nie, dziękuję, piję czarną. I nie słodzę. Wracając do albumu...

– To pamiątka rodzinna. Są w nim i zdjęcia, i zaproszenia na śluby, i zawiadomienia o narodzinach, prywatne i wycięte z lokalnej prasy, i takie drobiazgi jak zasuszony kwiatek czy kotylion z pierwszego balu. Ten album był prowadzony od kilku pokoleń. Dla mnie jest bezcenny. – Zaczęło dławić ją w gardle, więc odwróciła się, sięgnęła do zlewu po gąbkę i udała, że wyciera z blatu szafki rozlaną kawę. Potrzebowała chwili, by dojść do siebie.

Album rzeczywiście był bezcenny. Wcześniej osierocona Hallie po śmierci rodziców czuła się tak, jakby grunt usunął się jej spod nóg. Ten pełen rodzinnych pamiątek album stał się niczym koło ratunkowe, które utrzymywało ją na powierzchni. Bez niego pogrążyłaby się w bezbrzeżnym smutku i poczuciu osamotnienia. Bez niego nie wiedziałaby, kim jest. Na szczęście wystarczyło przerzucić jego karty, by odzyskać świadomość przynależności do rodziny,

tradycji, miejsca zamieszkania.

Opanowała się nieco. Postawiła na stole filiżanki z kawą i usiadła naprzeciwko Marca. Naraz uprzytomniła sobie, że jest zadowolona z jego obecności. Dzięki niemu zrobiło się tak jakby... bezpieczniej. Dziwne. Przecież to był naprawdę ogromny mężczyzna, z pewnością groźny. Rano autentycznie ją przerażał. Czemu teraz to się zmieniło? Czy dlatego, że kiedy siedział za stołem, nie wyglądał aż tak groźnie? Czy może dlatego, że przyszedł do niej jako komendant policji niosący pomoc ofierze rabunku?

A może z jeszcze innego powodu?

Marc spróbował kawy i z aprobatą pokiwał głową.

– Pyszna. Właśnie tego potrzebowałem.

Uśmiechnął się przy tym i na ten widok Hallie poczuła nagle dziwne ciepło w żołądku, które zaczęło rozchodzić się szybko po całym jej ciele. Po chwili fala gorąca dotarła również do twarzy, więc Hallie pospiesznie pochyliła głowę, by ukryć rumieniec. Oczywiście doskonale wiedziała, co to wszystko oznacza. Podobał się jej.

Od dawna jej się to nie przydarzyło. Konkretniej mówiąc, od roku. Od chwili, gdy Fred, jej narzeczony, porzucił ją i wyjechał.

Z trudem zmusiła się, by podnieść wzrok na swojego gościa i wytrzymać jego przenikliwe spojrzenie.

Teraz, wieczorem, jasne oczy wydawały się bardziej zielone niż rano. Od ich kącików biegła ku skroniom delikatna siateczka zmarszczek, widać często się uśmiechał.

Rysy jego twarzy były tak wyraziste, jakby wykuto je w granicie. Siedział idealnie wyprostowany, a z jego postawy emanowało niezwykle poczucie pewności siebie. Ponieważ miał teraz na sobie koszulę z krótkimi rękawami, Hallie widziała jego opalone i znakomicie umięśnione ramiona.

Były wojskowy. Czy nie tak powiedziała Joannie?

– Tak – odpowiedział.

– Co, tak? – odparta zaskoczona.

– Jestem byłym wojskowym. Dokładniej, służyłem w marynarce. Skąd pani wie?

Och, czyli znowu to zrobiła. Znowu powiedziała na głos, co myśli, kompletnie sobie tego nie uświadamiając. Przydarzało się jej to zwłaszcza wtedy, gdy była czymś podenerwowana. Niedobrze, przy tym człowieku musi się bardziej pilnować.

Wzruszyła lekko ramionami.

– Takie rzeczy szybko się rozchodzą. Jednym z pańskich nowych podwładnych jest mąż mojej przyjaciółki, Tom Kingman.

– Ach, tak. Poznałem go dzisiaj. Bardzo sympatyczny facet.

Hallie uśmiechnęła się.

– Moja przyjaciółka też tak uważa. Długo służył pan w marynarce?

– Piętnaście lat. Odszedłem przed miesiącem.

Hallie miała ochotę zapytać, dlaczego zrezygnował ze służby, ale to już zakrawałoby na wścibstwo i nie byłoby zbyt uprzejme. Chciałaby też dowiedzieć się, czy jest żonaty i czy jego rodzice jeszcze żyją, i... Właściwie najchętniej poznałaby wszystkie szczegóły dotyczące jego życia, chociaż zazwyczaj nie była ciekawska. Jednak nowy szef policji z niewyjaśnionych powodów nagle zaczął ją bardzo interesować.

Z niewyjaśnionych? Czyżby?

Zagryzła dolną wargę. Co ona wyprawia, przecież właśnie od niego powinna trzymać się z dala. Szantażysta ostrzegł, że nie wolno jej kontaktować się z policją, a ona co robi? Gości u siebie nowego komendanta, udzieliła szczegółowych informacji na temat skradzionych przedmiotów... Może powinna poprosić, żeby policja zapomniała o całej sprawie? Nie, to wzbudzi podejrzenia. Poza tym policja może się jeszcze przydać, gdy nie uda się jej uzbierać żądanej kwoty i szantażysta zacznie zapewne sprzedawać skradzione przedmioty.

– Pani Fitzgerald?

– Słucham?

– Wygląda pani na zmartwioną. Może mógłbym w czymś pomóc?

Oho, pomyślała zaniepokojona. On jest stanowczo zbyt spostrzegawczy. Zaraz mnie na czymś przyłapie, jeśli wreszcie nie zacznę bardziej uważać na to, co mówię i co robię.

Jednym łykiem dopiła swoją kawę i podniosła się zza stołu.

– A może chce pan teraz obejrzeć muzeum? Zapraszam.

Marca uderzyła tak nagła zmiana tematu. Dałby głowę, że Hallie ma poważny problem. Przed chwilą na jej twarzy pojawił się najpierw niepokój, potem smutek, a wreszcie nagły przestrah. Coś przed nim ukrywała i nie była to byle błażostka. Czy miało to związek z kradzieżą?

Postanowił nie naciskać i poczekać na bardziej sprzyjający moment. Umiał wyczuć, kiedy ludzie znajdowali się w nastroju do wyznania tajemnicy. Należało tylko uzbroić się w cierpliwość.

– Chodźmy więc.

Hallie poprowadziła go do tylnych drzwi, przy których wisiał na haku duży, ozdobny klucz. Zabrała go i wyszli na zewnątrz. Na frontonie niewielkiego ganku paliła się lampa, rzucając krąg żółtawego światła na brukowane podwórko. Po jego przeciwnej stronie wznosił się imponujący wręcz budynek, który wyglądał, jakby został przeniesiony wprost z dawnej Anglii: liczne wieżyczki, spadziste dachy, okna z wieloma małymi szybkami. Wprawdzie miał zaledwie dwa piętra, ale tak wysokie, że przewyższał wszystkie okoliczne domy.

Marc aż gwizdnął z podziwu.

– To jest naprawdę coś!

Jego reakcja ucieszyła Hallie.

– Prawda? – szepnęła z satysfakcją. Wykonała szeroki gest ręką, obejmujący wszystko dookoła. – Kiedyś cały ten teren należał do mojej rodziny. W skład majątku wchodził też budynek dla służby, stajnie, ogród, sad i pola uprawne. Z upływem czasu majątek kurczył się coraz bardziej, ponieważ w planach zagospodarowania miasta tę część przewidziano pod nową zabudowę. W końcu został tylko kawałek ziemi z głównym dworem i tym małym domkiem za nami. Dziadkowie zdołali ocalić te dwa budynki dzięki temu, że udało się dla nich uzyskać status zabytków. Teraz nie będzie już można ich wyburzyć, są chronione.

– Mówi pani, że niewiele zostało, ale nawet ta niewielka część nadal robi wrażenie.

– Tak, dopóki ktoś nie zacznie przyglądać się uważniej. Trzeba wszystko odmalować, wymienić pokrycie dachu i przeprowadzić dziesiątki pomniejszych napraw. Proszę się jednak nie obawiać, budynki nie stanowią zagrożenia dla zwiedzających – zapewniła szybko swego towarzysza. – Na pewno nikomu nic nie spadnie na głowę.

– Ma pani wielu gości?

– Latem jest ich naprawdę sporo, ale i teraz, na początku jesieni, nie narzekam. Wie pan, w okolicy nie ma podobnych zabytków, więc to jest pewna atrakcja turystyczna. Proszę tędy.

Przeszli przez dziedziniec i Hallie otworzyła kluczem masywne drewniane drzwi. Gdy znaleźli się wewnątrz, zapaliła światło i przycisnęła kilka guzików na panelu przy framudze, wyłączając alarm. Marc rozglądał się dookoła.

W niewielkim holu znajdowało się staroświeckie biurko, a na nim, obok kasy i aparatu telefonicznego, rozłożono kolorowe broszurki. Z holu rozchodziło się gwiżdżące kilka korytarzy.

– Chce pan obejrzeć wszystko, czy tylko te miejsca, które zostały okradzione?

– Robi się późno, więc może dzisiaj darujemy sobie całość. Proszę mi pokazać tylko te pomieszczenia, z których coś zginęło.

Hallie oprowadziła go więc tylko po wybranych pomieszczeniach, a Marc oglądał wszystko w milczeniu. Odezwał się dopiero wtedy, gdy z powrotem znaleźli się w holu głównym. Najpierw jednak dokładnie sprawdził system alarmowy. Nie był on zbyt nowoczesny, ale wciąż dobrze spełniał swoje zadanie.

– Zeznała pani, że w nocy, gdy dokonano rabunku, alarm był włączony.

– Zawsze włączam alarm na noc. Nigdy nie zdarza mi się o tym zapomnieć.

– A jednak nie zadziałał... Kto oprócz pani ma dostęp do klucza i zna kod?

Hallie wyprostowała się, wyraźnie dotknięta.

– Moja ciotka, która obecnie przebywa bodajże w Hiszpanii. Moja kuzynka, która wyprowadziła się stąd jakiś czas temu. Moja asystentka, Carrie, najuczciwsza i najporządniejsza osoba, jaką znam. I Cal Rankin. Sprząta muzeum dwa razy w tygodniu, ma ponad osiemdziesiąt lat i jest poza wszelkimi podejrzeniami. Tom już mnie o to pytał, ma pan to zapisane w raporcie czarno na białym.

– Wiem, ale policja ma taki zwyczaj, że woli się upewniać... Dokąd wyprowadziła się pani kuzynka?

– Trący? Do San Francisco, przynajmniej tak mnie poinformowała. Dzwoni czasami, by mi powiedzieć, że u niej wszystko w porządku. Nie znam bliższych szczegółów. Jest już pełnoletnia, może robić, co zechce. Ale martwię się o nią.

– A czy ta ciotka w Hiszpanii to jej matka?

– Tak. Jak widać, niedaleko pada jabłko od jabłoni. I jedna, i druga nie może spokojnie usiedzieć na miejscu, ciągle je gdzieś nosi.

– Czy to znaczy, że mieszka tu pani zupełnie sama?

– Nie ma pani męża, dzieci albo... albo jakichś innych bliskich osób?

– Nie, nie mam nikogo takiego.

Ta odpowiedź ucieszyła Marca, i to o wiele bardziej, niż powinna.

– Czyli rodzina zostawiła wszystko na pani głowie.

A pani nie miałaby ochoty wyjechać, zobaczyć trochę świata?

Zaskoczył ją tym pytaniem. Zastanawiała się przez chwilę, nim udzieliła odpowiedzi.

– Wie pan, mnie nigdzie nie ciągnie. Należę do tych nieciekawych ludzi, którzy kochają swoje małe miasteczko i chcą w nim przeżyć całe życie.

– Pani z całą pewnością nie należy do nieciekawych ludzi – zaproponował natychmiast. – Wręcz przeciwnie.

– Dziękuję.

Ostatni raz rozejrzył się dookoła.

– Wspaniałe miejsce, chętnie obejrzę całość. Kiedy mogłaby pani mnie oprowadzić?

– W każdą środę, sobotę i niedzielę o trzynastej. – Uśmiechnęła się przekornie.

– Wstęp pięć dolarów, większe datki mile widziane.

– W takim razie zjawię się któregoś z tych dni jako gość. A teraz chodźmy.

Hallie znów włączyła alarm, a po wyjściu starannie zamknęła drzwi na klucz. Tymczasem zapadła już noc. Wszedł księżyc, idealnie okrągły i bardzo jasny, który powlekał wszystko chłodną, srebrzystą poświatą. Gdy przeszli przez dziedziniec i znaleźli się na ganku, Marc przystanął na chwilę, by posłuchać odgłosów nocy. W trawie cicho cykały świerszcze, delikatnie szeleściły liście drzew. Oceanu nie było słychać, chociaż znajdował się niedaleko, ale jego bliskość dało się wyczuć w wilgotnym, rześkim, jakby nieco słonawym powietrzu.

Wpatrując się w księżyc, Marc pomyślał już po raz któryś, że dobrze zrobił, przechodząc do cywila i przyjeżdżając na jakieś pół roku do tego miasteczka na wybrzeżu. Było małe, ale oferowało sporo atrakcji – bliskość oceanu, słoneczne dni, ciche i spokojne noce. Nie wspominając o stojącej obok kobiecie...

Odetchnął głęboko. Tak, było mu tu dobrze. Naprawdę dobrze.

– Czyż tu nie jest cudownie? – spytała Hallie z rozmarzeniem. – Kto przy zdrowych zmysłach miałby ochotę stąd wyjeżdżać?

Powodowani tym samym impulsem, jednocześnie spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się. Marc popatrzył na ładne usta Hallie, na jej zgrabny nosek, duże oczy. Nagle zapragnął z czułością pogłaskać ją po policzku, by przekonać się, czy naprawdę jest taki aksamitny w dotyku, na jaki wyglądał. Ponieważ jednak nie był z natury człowiekiem zbyt impulsywnym, więc nawet nie drgnął.

Nie zapominał też ani na moment, kim jest – nowym komendantem policji, który ledwo przyjechał do miasta i nawet jeszcze nie objął oficjalnie swojego urzędu. Miałby zaczynać od flirtu z ofiarą przestępstwa? Nie, to było nie do pomyślenia.

– Mogę panią o coś spytać?

– Proszę – zgodziła się, wciąż rozmarzona.

– Co to była za historia dziś rano z tym telefonem, który musiała pani odebrać?

– Tak jak przypuszczał, w ułamku sekundy diabli wzięli miły nastrój. Uroczy uśmiech znikł z twarzy Halne i Marc poczuł się tak, jakby chmura zakryła słońce. Przez chwilę żałował swojego pytania. Nie, nie wolno mu tak myśleć. W końcu nie

przyjechał tu jako osoba prywatna. Zadawanie takich pytań to jego obowiązek.

Hallie odwróciła wzrok.

– Pan wybaczy, to moja sprawa.

– Ale nie ma nic wspólnego z żadną przyjaciółką w Londynie, prawda?

Na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu.

– Prawda. Zmyśliłam to – przyznała zawstydzona.

– Tak między nami mówiąc, musi pani jeszcze sporo popracować nad techniką kłamania. Jestem akurat specjalistą od prowadzenia przesłuchań i mogę stwierdzić, że występują u pani, i to w skrajnej formie, wszystkie typowe objawy osoby mijającej się z prawdą. Ucieka pani wzrokiem na boki, nie wie pani, co zrobić z rękami, zaczyna się pani jąkać i plątać.

Specjalista od przesłuchań? Hallie natychmiast wyobraziła sobie nieprzyjemny, pusty pokój bez okien, oświetlony jedną żarówką zwisającą z sufitu, i kogoś, kto siedzi przywiązany do krzesła, z przepaską na oczach, podczas gdy ten potężny mężczyzna złowróżbnym głosem zadaje mu kolejne pytania...

– Wszystko w porządku? – zatroszczył się Marc.

Potrząsnęła głową, odpędzając od siebie ponurą wizję. Chyba miała zbyt bujną wyobraźnię.

– Tak, jak najbardziej. I dziękuję za poradę w kwestii kłamania. Nie będę się jednak wprawiać, wolę zawsze mówić prawdę.

– Która w tym wypadku brzmi... – zachęcająco zawiesił głos, lecz Hallie nie skorzystała z okazji.

– Przykro mi, ale to sprawa osobista.

– Czy związana w jakiś sposób z rabunkiem?

Na to pytanie nie uzyskała żadnej odpowiedzi.

– Może mi pani śmiało zdradzić, na czym polega problem, cokolwiek to jest – przekonywał przyjaznym tonem. – Może umiałbym pani pomóc? Często zdarza mi się wpaść na dobre rozwiązanie. I może lepiej, żebyśmy zaczęli mówić sobie po imieniu?

Ależ próbuje mnie podejść, dosłownie na wszystkie możliwe sposoby, pomyślała z rozbawieniem Hallie. Był straszliwie uparty, ale wyczuwała też w jego głosie autentyczną troskę. Coraz bardziej przekonywała się, że wbrew pozorom miała do czynienia z bardzo dobrym i ciepłym człowiekiem, który tylko sprawiał wrażenie szorstkiego i srogiego. Naprawdę dał się lubić. W dodatku przysięgłaby, że parę chwil temu miał ochotę jej dotknąć.

A ona nie miałaby nic przeciwko temu...

– Dziękuję, Marc, ale poradzę sobie.

– A zwrócisz się do mnie o pomoc, gdybyś jednak nie mogła uporać się sama?

Przechyliła głowę na bok i w skupieniu przyjrzała mu się uważnie.

– Na ile jeszcze sposobów mam ci dać do zrozumienia, że nie zamierzam skorzystać?

– I tak żaden z nich nie poskutkuje – ostrzegł, patrząc na nią twardo. – Gdy ktoś coś ukrywa, nie popuszczę tak długo, aż się nie dowiem, o co chodzi. Możesz być tego pewna. Nie będę ci teraz więcej przeszkadzał, wyjdę boczną furtką. Dobranoc.

– Zszedł z ganku i znikł w alejce oddzielającej dom Hallie od sąsiedniej posesji. Odprowadziła go zaskoczonym spojrzeniem, myśląc, co za traf sprawił, że ten potężny mężczyzna nieoczekiwanie pojawił się w jej życiu i poczynił sobie tak bezceremonialnie, jakby wszędzie był u siebie. Przeczuwała, że tak łatwo się go nie pozbędzie.

Wcale zresztą tego nie chciała.



### Rozdział 3

Postawiła szklankę wody przed nowym gościem i nie poświęcając mu nawet jednego spojrzenia, wyjęła z kieszeni fartuszka bloczek i długopis.

– Co podać? – spytała.

– Kawę, jeśli jest – odezwał się znajomy głos. Gwałtownie podniosła głowę.

Marc uśmiechał się do niej, jakby znali się od lat. O siódmej rano był gładko ogolony, rzeński jak skowronek i wyraźnie gotów do wzięcia się za bary z całym światem, gdyby zaszła taka potrzeba.

W odróżnieniu od niego, po Hallie widać było nieprzespaną noc. Pozałowała, że nie umalowała się starannie. Mogła też zrobić coś sensownego z włosami...

– Jedna kawa – powtórzyła. – Czarna, bez cukru, prawda?

– Tak.

Po chwili wróciła z filiżanką, postawiła ją przed Markiem i ponownie wyjęła bloczek.

– Co zamawiasz?

– A „dzień dobry” to nikt mi nie powie?

Łypnęła na niego.

– Mamy tu kompletny najazd od piątej rano, chyba całe miasto wyszło dziś z domu bez śniadania. Nie wiem już, jak się nazywam. – Przerwała, wzięła głęboki oddech i wyrecytowała gładko: – Dzień dobry.

Witam serdecznie w barze „Java”. Czy mogę przyjąć zamówienie?

Zaśmiał się, a potem sięgnął po kartę.

– Trzy omlety z szynką, duży sok pomarańczowy i dwa tosty.

– To się nazywa śniadanie – pochwaliła.

Pospiesznie zapisała zamówienie, zastanawiając się jednocześnie, czy Marc przyszedł tutaj specjalnie, żeby się z nią zobaczyć. Musiał przecież wiedzieć, że pracuje w barze na ranną zmianę, policja miała wszystkie informacje na jej temat w raporcie sporządzonym po kradzieży. A może to tylko czysty przypadek? „Java” była najpopularniejszym lokalem w mieście, więc prawdopodobnie ktoś mu ją polecił.

Nie dało się jednak wykluczyć, że zjawił się po to, by dalej ciągnąć ją za język, kontynuując rozmowę z poprzedniego wieczoru. I choć z jednej strony naprawdę było miło znów go widzieć, to z drugiej Hallie aż cierpła skóra na myśl o tym, co się stanie, gdy Marc zorientuje się, że próbowała wprowadzić w błąd szefa policji,

ukrywając kontakty z przestępcą!

Przyjęła zamówienie i pospieszyła do kuchni.

– Hej, Hallie, jakiś facet zostawił to dla ciebie – zaczepił ją Robbie, jeden z kucharzy, i podał jej pomiętą kopertę, na której wypisano drukowanymi literami jej nazwisko.

– Jaki facet?

Robbie wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Nigdy go nie widziałem.

Pełna najgorszych przeczuć, schowała kopertę do kieszeni, szybko obsłużyła kilku klientów, po czym na moment wymknęła się na placyk z tyłu za barem, gdzie wszyscy pracownicy zwykle wyskakiwali na papierosa. Teraz też palił tam jeden z kucharzy, Hallie stanęła więc nieco dalej i rozdarła kopertę. List był krótki, napisany takimi samymi drukowanymi literami jak poprzedni, który wsunięto jej pod drzwi w nocy po kradzieży.

„Wtorek. Ta sama budka telefoniczna o tej samej porze. ”

Czyli dziś o dziesiątej znów miała odebrać telefon. Złodziej musiał zatem wiedzieć, że kończyła pracę za kwadrans dziesiąta. Zrobiło się jej zimno. Czyżby to ktoś z jej sąsiadów? Współpracowników? Znajomych? To była straszna myśl.

Wróciła do kuchni.

– Robbie, powiedz mi coś więcej o tym człowieku, który zostawił list.

Kucharz przewrócił omlet na patelni i wzruszył ramionami. Nie mogła gorzej trafić, ponieważ ten wytatuowany był bokser, w dodatku alkoholik po odwyku, nie odznaczał się zbyt dużą spostrzegawczością.

– Nie przyglądałem się – mruknął.

– Wysoki? Niski? Młody? Stary? – naciskała. – Przypomnij sobie, to ważne.

Robbie mrugnął do niej.

– A co? Pisz, że się w tobie buja?

– Robbie, skup się! Jak on wyglądał?

Kucharz westchnął i na chwilę zamknął oczy.

– Biały. Z brodą. Nie duży i nie mały. No, średni. Młody, może w twoim wieku, ja wiem? Tak se nasadził bejsbolówkę, że mało co było widać. – Odsapnął, wyraźnie zadowolony z siebie.

– Dawno przyszedł?

– A z godzinę temu.

– To czemu nie powiedziałeś mi wcześniej?

– Dziewczyno, kiedy? Waśnie, nie gadaj tyle, tylko leć. Masz! – Podał jej talerz

z omletami.

Marc rozglądał się po przestronnym barze o staroświeckim wystroju. Podobało mu się tutaj. A jeszcze bardziej podobała mu się jasnoruda kelnerka, która zbliżała się szybko, niosąc kilka talerzy naraz. Nagle wyczuł, że coś jest nie tak. Wydawała się jeszcze bardziej spięta niż poprzednio.

Nie spuszczał z niej oka. Postawiła przed nim śniadanie, potem obsłużyła sąsiedni stół, przyniosła komuś kawę i wreszcie wróciła do niego.

– Czy podać coś jeszcze? – spytała tak rzeczowym tonem, jakby nie łączyła ich tamta magiczna chwila, gdy stali razem na zalanym księżycową poświatą ganku, uśmiechając się do siebie.

– Tak, szarlotkę na deser. Oczy jej się zaokrągliły.

– Ależ ty masz apetyt! – wyrwało się jej.

– Szybko spalam kalorie.

Jej policzki zaróżowiły się leciutko. Interesujące. Czyżby pomyślała o tym samym sposobie spalania kalorii, co on? Bo gdy ją widział, to zaczynały mu nasuwać się właśnie takie myśli...

– Zaraz podam – odparła krótko i oddaliła się pospiesznie.

Tak, bez dwóch zdań starała się trzymać go na dystans. Marc zmarszczył brwi, a potem przywołał się do porządku. Miał zdecydowanie ważniejsze sprawy na głowie niż myślenie o choćby najmilszej Hallie Fitzgerald. Dziś oficjalnie zaczynał nową pracę, o ósmej rano czekało go spotkanie ze wszystkim i pracownikami.

Tym razem, gdy telefon zadzwonił o umówionej godzinie, Hallie szczęśliwie nie musiała z nikim walczyć o dostęp do aparatu telefonicznego. Czatowała z dłonią na słuchawce i odebrała już w połowie pierwszego dzwonka.

– Tak?

– No i jak z kasą? – odezwał się niecierpliwie stłumiony męski głos.

– Nijak – odpaliła. – Skąd mogę wiedzieć, że naprawdę masz moje rzeczy? Może tylko blefujesz?

– Tak? No, to popatrzmy... – wycedził tamten. – Właśnie trzymam w ręku lalkę w długiej żółtobiałej sukience z falbankami. Mówi ci to coś? – Rozległ się taki odgłos, jakby ktoś grzebał w pudle pełnym różnych rzeczy. – A tu są srebrne łyżeczki i kapelusz z wielkim piórem. I... i jeszcze jakiś głupi album ze starymi śmieciami. To w ogóle wszystko są jakieś śmierdzące śmieci, może wywalę je do zsypu i...

– W porządku, rozumiem – przerwała mu pośpiesznie, dygocząc ze zdenerwowania. Złodziej rzeczywiście miał w ręku jej skarby. Lalka liczyła ponad

sto dwadzieścia lat i była naprawdę cenna. O albumie nie wspominając... Gdyby coś mu się stało, serce by jej pękło. – Zrozum jednak, że nie trafiłeś na bogatą osobę. Nie mam pojęcia, skąd wziąć taką ilość pieniędzy.

– Nie? – zdziwił się złodziej nieprzyjemnym tonem. – Wysil mózgownicę. No?

I naraz ją oświeciło. Fundusz powierniczy Trący. Dokładnie dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, którymi kuzynka miała dysponować od dwudziestego piątego roku życia. Do tego momentu pieczę nad funduszem sprawowała Hallie.

Złodziej nie mógł jednak o tym wiedzieć, chyba że...

Strach wyparował w jednej chwili, a zamiast niego pojawiła się złość. Och, jak mogła być tak naiwna? Przecież wszystko było zupełnie jasne!

– Czy Trący tam jest? – spytała gniewnie.

– Jaka Trący?

– Powiedz mojej kuzynce, że w ten sposób nie dostanie tych pieniędzy. Niech przestanie się wygłupiać i dziś wieczorem do mnie zadzwoni.

– Bo jak nie, to co? Polecisz powiedzieć wszystko glinom? Wtedy na dobre możesz się pożegnać ze swoimi zabawkami.

Lęk o ukochane przedmioty powrócił ze zdwojoną siłą. Hallie z trudem opanowała drżenie głosu.

– Niech zadzwoni do mnie wieczorem – powtórzyła, lecz już nie tak wojowniczo jak przed chwilą. – Jak z nią porozmawiam, ustalimy, co z tymi pieniędzmi dla ciebie. Umowa stoi?

Ale mężczyzna odłożył już słuchawkę.

Hallie wróciła do domu kompletnie roztrzęsiona. Jak Trący mogła jej to zrobić? Jak mogła zachowywać się tak nieodpowiedzialnie?

Odkąd skończyła osiemnaście lat, wciąż domagała się swoich pieniędzy, ale Hallie twardo odmawiała, ponieważ dostała takie polecenie od umierającej babci. Babcia doskonale wiedziała, że Trący ma pstro w głowie i nie może otrzymać takiej sumy, zanim choć odrobinę nie zmądrzeje.

I co teraz? Ma dać lekkomyślnej kuzynce dostęp do funduszu w zamian za zwrot skradzionych rzeczy? I co to za człowiek, który był współnikiem Trący? Zawsze miała słabość do tak zwanych niegrzecznych chłopców, czasem nawet chuliganów, ale jak dotąd nigdy nie przyjaźniła się z przestępcami. W co ona się znowu wpakowała?

Wszystko jedno, w co, wyciągnę ją z tego, postanowiła z determinacją Hallie. Ratowała kuzynkę z najróżniejszych tarapatów, odkąd sięgała pamięcią. Wieczorem porozmawiają i wtedy się ustali, co dalej. Na pewno znajdą jakieś

rozwiązanie.

Po prostu muszą je znaleźć.

Następnego ranka Marc szedł do baru „Java” w znakomitym nastroju. W tutejszej policji panował taki porządek, że przejście nowych obowiązków nie przedstawiało większych trudności. Len Baker, dawny kolega z marynarki, a jednocześnie burmistrz miasteczka, który zaproponował mu tę pracę, ostrzegł, że najpoważniejsze kłopoty może mieć z dwoma oficerami, ostrzącymi sobie zęby na stanowisko komendanta. Kapitanowie Coe i Johnson zachowywali się jednak poprawnie i nie próbowali podkopywać pozycji nowego szefa – widać postanowili przeczekać te pół roku, przyczaić się, a potem zawalczyć o stołek między sobą.

Promise okazało się dość spokojne. Oczywiście, zdarzały się wykroczenia i mniejsze przestępstwa, ale nic poważnego. Notowano też niewiele chuligańskich wybryków i aktów wandalizmu – może dlatego, że w miasteczku było stosunkowo niewiele rozbitych rodzin? Każdy dzieciak, który ma oboje rodziców, wpajających mu od małego, jak należy się zachowywać, ma większe szanse wyrosnąć na porządnego obywatela. Chociaż nie należy generalizować, bo z rodzinami różnie bywa, pomyślał Marc. Jego własny przypadek dobrze o tym świadczył.

Miał oboje rodziców, a przecież równie dobrze mógł mieć jedynie ojca. To on rządził, ustanawiał reguły i wpadał w szal, gdy ich nie przestrzegano. Matka niemal się nie odzywała, potulnie gotowała, prała, sprzątała i z każdym rokiem stawała się coraz bledsza, chudsza i cichsza. Wreszcie zmarła. Marc miał wtedy dwanaście lat, a jego brat sześć. Nawet nie wiedział, że przez te wszystkie lata chorowała, był zbyt zajęty spełnianiem oczekiwań ojca, by zwracać na nią uwagę. Ona liczyła się w rodzinie najmniej. Wbrew zewnętrznym pozorom byli więc w pewnym sensie niepełną rodziną, ale Marc widział to dopiero teraz.

Ponieważ przywykł do tego, że kobiety się nie liczą, zdecydowanie preferował towarzystwo mężczyzn. Tylko z nimi dało się rozmawiać, tylko z nimi można było się przyjaźnić. Z kobietami mógł wyłącznie sypiać. Związki z nimi nigdy nie przeradzały się w coś poważniejszego. Nie bardzo umiał postępować z płcią przeciwną. One kierowały się zupełnie innymi regułami niż on, a on za nic nie potrafił tych reguł zrozumieć. Dlatego też nie zamierzał się żenić. Nigdy nie dałby rady dogadać się z drugą stroną, za to pewnie próbowałby trzymać ją krótko, czyli traktować podobnie jak ojciec traktował matkę. Marc nie chciał być despotą, nie chciał nikogo skrzywdzić, wolał więc zostać sam. I tak musiał nieustannie walczyć ze sobą, by nie ulec pokusie rządzenia wszystkimi naokoło na wzór ojca. Przy jego

posturze i sile łatwo byłoby mu terroryzować ludzi, bardzo łatwo, dlatego cały czas musiał się mieć na baczności.

Skręcił w ulicę prowadzącą do „Javy” i uśmiechnął się. Zaraz dostanie świetną kawę i solidne śniadanie. I zobaczy pewną jasnorudą kelnerkę... Cały czas nie rozumiał, czemu Hallie aż tak mu się spodobała. Owszem, była ładna i zgrabna, ale ani zmysłowa, ani seksowna, co do tej pory najbardziej lubił u kobiet. Za to miała naturalny wdzięk i dużo ciepła. Tak, zdecydowanie bardzo dużo ciepła. I poważny problem, z którym nie potrafiła się uporać, pomyślał z troską. Coś ją dręczyło, widział to wyraźnie. Naprawdę chciałby jej pomóc, czy to jako policjant, czy jako przyjaciel.

Przyjaciel? Skąd mu to słowo przyszło do głowy? Z kobietą nie można się przyjaźnić. Przeszkadza w tym różnica płci, która służy przecież czemuś zupełnie innemu...

Wszedł do „Javy”, usiadł przy stoliku i czekał na Hallie. Nie musiał długo czekać, podeszła do niego od razu z filiżanką kawy i postawiła ją przed nim. Uśmiechnęła się, ale tak jakoś blado, rozciągając nieznacznie usta. W jej spojrzeniu czaił się niepokój, pod oczami widniały sińce od niewyspania, jeszcze ciemniejsze niż poprzedniego dnia.

– Witam stróża porządku – powiedziała z udawaną wesołością i wyjęła bloczek.

– Co będzie dzisiaj?

– Wszystko w porządku? – spytał Marc, nie odpowiadając na jej pytanie.

– Tak, oczywiście.

– Wybacz, kobiecie nie powinno się mówić takich – rzeczy, ale nie najlepiej wyglądasz. Dlatego spytałem. Martwisz się czymś? Chodzi o tę kradzież? Wczoraj miałem masę roboty, więc nie mogłem sprawdzić, czy są jakieś postępy w śledztwie, ale jak tylko przyjdę dziś rano do pracy...

– Nie prosiłam o specjalne względy – ucięła, po czym zreflektowała się nieco i spytała już grzeczniej:

– Co zamawiasz?

Mimo widocznej niechęci Hallie do kontynuowania tematu, Marc podjął ostatnią próbę:

– Mówiłem, że chciałbym ci pomóc, pamiętasz?

– Najlepiej mi pomożesz, jak wreszcie złożysz zamówienie. Mam masę innych gości do obsłużenia.

To go zabolalo. Urażony, miał ochotę odpowiedzieć równie nieprzyjemnie, ale powstrzymał się. Nie to nie. Przestał na nią patrzeć, wbił wzrok w kartę.

– Poproszę parówki, podwójną porcję – powiedział zimno. – I duży sok pomarańczowy.

– O, to mniej niż wczoraj – zauważyła ugodowym tonem, wyraźnie próbując załagodzić sytuację.

Marc nie zareagował. Człowiek się stara, i to najlepiej jak tylko potrafi, a kobiecie i tak nie dogodzi. Miał jednak rację – kobiety to jakiś inny gatunek. Nie da się z nimi ani dogadać, ani zaprzyjaźnić.

Hailie wróciła z pracy, wzięła prysznic i zaczęła przygotowywać się do roli przewodniczki po muzeum. Musiała przebrać się w odpowiedni strój i stylowo uczesać, a to trochę trwało. Co chwilę zerknęła na stojący przy łóżku telefon, modląc się w duchu, by wreszcie zadzwonił. Niestety, milczał jak zakłęty. Trący nie dawała znaku życia, choć Hailie wyraźnie mówiła złodziejowi, że kuzynka ma zadzwonić. Co to mogło oznaczać?

Może się pomyliła? Może intuicja zawiodła ją i Trący wcale nie maczała palców w kradzieży, a wysokość kwoty była tylko zbiegiem okoliczności? Przestępca nie potwierdził przecież jej przypuszczeń.

A jeśli Trący nie odzywała się, bo coś jej się stało? Może tamten ją więził? A może zabił?

Hallie jęknęła na samą myśl.

Nie, nonsens, ponosi ją fantazja. Musi się jakoś uspokoić, zwłaszcza że za kwadrans otwiera muzeum i zaczyna oprowadzać zwiedzających.

Marc zapłacił pięć dolarów za wstęp jak najzwyczajniejszy gość, chociaż jako szef policji miałby prawo wejść do muzeum za darmo. Pieniądze przyjęła ładna i pulchna dziewczyna, która poinformowała, że zwiedzanie rozpocznie się lada moment.

Oprócz niego czekała jeszcze para emerytów oraz jakiś młody człowiek w okularach, z notatnikiem w ręku, wyglądający na studenta. Chwilę później zjawiała się Hallie, a Marc zamarł na jej widok.

Gdzieś kiedyś słyszał, że kobieta zapięta pod samą szyję robi większe wrażenie niż ta, która ma dekolt do pasa, ale włożył to między bajki. Zawsze podobały mu się krótkie spódniczki i obcisłe bluzeczki, czyli jak najwięcej ciała na wierzchu. Wszystko jasne, żadnych niedomówień. Wyobraźnię zostawiał poetom.

A niech mnie, pomyślał teraz. A niech mnie...

Hallie upięła włosy w wymyślny sposób, to pewnie jakoś się nazywało, ale nie

znał się na tym, wpięła w nie dwa ozdobne grzebienie i wyglądała w tej fryzurze jak prawdziwa dama. Z uszu zwisały jej delikatne kolczyki z perłami, pasujące do perłowych guziczków u zapiętej pod samą szyję cienkiej, białej bluzki. Dłonie dziewczyny ginęły w koronkowych mankietach.

Miała na sobie długą do kostek ciemnoniebieską spódnicę i wysokie sznurowane trzewiczki, z całego ciała widać więc było tylko twarz i palce dłoni. Efekt okazał się piorunujący. Strój z epoki wiktoriańskiej wbrew pozorom czynił kobietę bardzo ponętną, wyszczuplał talię, jednocześnie podkreślając biust i biodra. Fakt, że tyle ujawniał, jednocześnie niemal wszystko zakrywając, działał na męską wyobraźnię z niezwykłą siłą.

Marc pospiesznie odwrócił się bokiem i udał, że podziwia haftowaną makatkę na ścianie. Potrzebował chwili, by jego gwałtowne emocje nieco opadły. I nie tylko emocje...

– Panna Hortensja Palmer, siostra mojego praprapradziadka, która miała zostać pierwszą kobietą-burmistrzem naszego miasteczka, przybyła do Promise w 1884 roku. Kupiła pięć działek ziemi i pobudowała się. – Hallie wskazała olejny portret dość surowo ubranej damy o zdeterminowanym wyrazie twarzy. Dama siedziała na krześle w eleganckim pokoju, trzymając na podolku... sześciostrażowy rewolwer. – Tak się jednak niefortunnie złożyło, że puszczone samopas drób i kozy sąsiadów upodobały sobie szczególnie jej posiadłość. Prośba, by właściciele zwierząt pobudowali dla nich zagrody, nic nie dała, ponieważ wtedy nie było takiego zwyczaju. Panna Hortensja zakupiła więc drut kolczasty i ogrodziła swoją posesję, co skutecznie powstrzymało inwazję kóz, ale w przypadku ptactwa okazało się nieskuteczne – opowiadała z werwą Hallie.

Od pół godziny oprowadzała kilkusobową grupkę, dając przy tym najlepszy popis w swojej karierze przewodniczki po rodzinnym muzeum. Robiła to ze względu na Marca. Roziskrzony wzrok nowego komendanta policji mówił sam za siebie – podobała mu się, i to chyba nawet bardzo. Dawno nie przydarzyło się jej nic podobnego, prawie już zapomniała, jak to jest, kiedy robi się takie wrażenie na mężczyźnie. Zainteresowanie Marca poprawiało jej humor, zaostrzało dowcip, wręcz uskrzydlało ją.

Kłopotliwe jednak było to, że wprawne oko mogło dostrzec jej podekscytowanie. Zażenowana Hallie czuła, jak jej piersi nabrzmiewają, a sutki twardnieją, czego cieniutka, batystowa bluzka z pewnością nie zdołała ukryć.

– Panna Hortensja poprosiła więc o zezwolenie na strzelanie do drobiu, który przefruwał przez ogrodzenie i grzebał w jej ogrodzie. Otrzymała je bez trudu, gdyż



nikt nie podejrzewał, że dama z tego pozwolenia skorzysta. Nie zapominajmy, że mówimy o dziewiętnastym wieku i prawdziwej damie zasznurowanej w gorset. Tymczasem owa dzielna niewiasta, nie zwlekając, nabyła broń, którą widzą państwo na portrecie, zastrzeliła kilka kurczaków i wspaniałego koguta, po czym bezceremonialnie wyrzuciła kurze zwłoki na ulicę.

Student spontanicznie zaklaskał, a Hallie dygnęła z gracją.

– Dziękuję w imieniu mojej stryjecznej prapraprababki. Proszę posłuchać, co działo się dalej. Właściciele drobiu podnieśli rwetes, ale okazało się, że większość mieszkańców popiera pannę Hortensję, ponieważ ich ogrody i sady również wielokrotnie ucierpiały z powodu cudzych kóz i ptaków. Panna Hortensja Palmer stała się bohaterką i wybrano ją burmistrzem. Wprowadziła zakaz puszczenia luzem zwierząt i ptactwa, dzięki czemu miasteczko stało się dużo czystsze. Szanowano ją i bano się jej, wiedząc, że krewka pani burmistrz potrafi wyciągnąć rewolwer w obronie słusznej sprawy. Nigdy nie wyszła za mąż, przeżyła dziewięćdziesiąt jeden lat i przeszła do legendy.

– Więcej takich kobiet! – zawołała z przekonaniem starsza pani, a jej mąż pokiwał głową, potulnie zgadzając się z małżonką.

– Na tym zakończymy, proszę państwa. Serdecznie dziękuję za wizytę. Ten korytarzyk zaprowadzi państwa do wyjścia.

Goście pożegnali się i wyszli, został tylko Marc, który przyglądał się Hallie z uśmiechem.

– Widzę, że rodzinna historia jest twoją pasją – zagaił. – Masz jeszcze jakieś inne namiętności?

Pozornie było to zupełnie niewinne pytanie, lecz zostało zadane na tyle sugestywnym tonem, że Hallie zrobiło się gorąco. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Z kłopotu wybawił ją sygnał komórki Marca.

– Przepraszam – mruknął i odebrał telefon. – Tak?

Aha. Dobrze, już jadę. – Schował telefon, rzucił: Muszę lecieć. – I już go nie było.

Hallie myślała, że odczuje ulgę, gdy on wreszcie sobie pójdzie i przestanie ją rozpraszać, lecz nic takiego nie nastąpiło. Przeciwnie. Miała wrażenie, jakby została odcięta od źródła energii.

– Możesz iść, Carrie – powiedziała do asystentki. – Jest prawie piąta, nikt już dzisiaj nie przyjdzie.

– Naprawdę mogę?

– Oczywiście. Przecież jutro masz klasówkę. No, zmykaj!

Chwilę później Hallie została sama. Weszła na piętro, by pogasić światła. Przy ostatnim wyłączniku przystanąła. Wisiała nad nim niewielka fotografia, która nie posiadała żadnej materialnej wartości, ale dla Hallie była bezcenna. Przedstawiała dwoje młodych ludzi ubranych w stylu lat siedemdziesiątych, roześmianych, szczęśliwych, trzymających czule małą dziewczynkę z wielką kokardą na głowie.

Łzy wezbrały jej pod powiekami. Rabuś zabrał wiele osobistych pamiątek, ale na szczęście wzgardził tym zdjęciem – jedynym, jakie jej teraz pozostało po rodzicach. Prawie ich nie pamiętała, wiedziała jednak z całą pewnością najważniejszą rzecz – była dzieckiem upragnionym i bardzo kochanym.

Ponieważ nikt jej nie widział, mogła sobie pozwolić na chwilę słabości. Pogrążona w melancholijnych myślach, nie usłyszała cichych kroków na schodach i dopiero wtedy, gdy za jej plecami ktoś dyskretnie zakaszał, odwróciła się gwałtownie.

Marc ujrzał mokre od łez policzki Hallie i uśmiech momentalnie znikł z jego twarzy. Zaniepokoił się nie na żarty.

– Co się stało?!

– Nic. – Próbowała otrzeć łzy, lecz nagle pojawiło się ich jeszcze więcej.

Bez namysłu przygarnął ją do siebie, otaczając opiekuńczo mocnymi ramionami. Nareszcie poczuła się bezpieczna. Tak bezpieczna, jak chyba jeszcze nigdy dotąd. Z ulgą oparła się o jego potężny tors.

– Co się dzieje? – zapytał z troską.

Podniosła głowę, by zapewnić go, że to tylko chwilowy nastrój, ale gdy ich spojrzenia spotkały się, zapomniała o wszystkim. Zdawało się, jakby przeskoczyła między nimi iskra. Oboje gwałtownie wciągnęli powietrze.

W oczach Marca zapłonęło pożądanie. Objął ją mocno w talii i przyciągnął bliżej. Pochylił głowę.

Hallie przez moment patrzyła jak zahipnotyzowana na jego usta, a potem zamknęła oczy.

## Rozdział 4

Odpowiedziała na jego pocałunek z pasją, która zaskoczyła ją samą. Przy Fredzie nigdy nie czuła nic podobnego. Nigdy dotąd nie miała wrażenia, jakby trafiła na źródło, które ugasi każde jej pragnienie.

Wtulili się w siebie tak mocno i chciwie, że ich ciała stanowiły niemal jedność. Ich gorące wargi i języki smakowały się wzajemnie, obsypując żarliwymi pieścizotami. Hallie mogłaby nie przestawać do końca świata...

Co ty wyprawiasz, odezwał się karcący głos w jej głowie. Przestań natychmiast!

Cicho, nie przeszkadzaj, odpowiedziała mu. Nie widzisz, że mi dobrze?

Ale czemu akurat z nim, zapytał głos. Właśnie jego musisz strzec się najbardziej, masz za dużo do ukrycia i za dużo do stracenia!

To ją otrzeźwiło. Wyrwała się z objęć Marca i odsunęła na bezpieczną odległość. Ponieważ nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy, wbiła wzrok w podłogę.

– To nie powinno było się wydarzyć.

– Nie? A niby dlaczego?

Marc podszedł i założył jej za ucho jeden lok, który wymknął się spod grzebienia, gdy się całowali. Wystarczył delikatny dotyk jego palców, by Hallie znów zaczęła cała drżeć z podniecenia.

– Bo... Bo nie jestem zainteresowana.

– Oj, akurat w to uwierzę. – Obrzucił wymownym spojrzeniem jej pałające policzki, a potem pozwolił sobie zerknąć na jej piersi i uniósł brew. – Te staroświeckie stroje są niby takie cnotliwe, a tyle zdradzają...

Hallie miała ochotę zasłonić się rękami. Zamiast tego odwróciła się i poprawiła obrazek na ścianie, który wcale nie był przekrzywiony.

– Nie musisz przypadkiem wracać na służbę? – rzuciła.

– Jestem na służbie przez całą dobę – odparł, stając tuż za nią. – Mogę jednak przychodzić do pracy i wychodzić, kiedy uznam za stosowne, w końcu jestem szefem... – mruknął jej prosto do ucha i znów sięgnął po ten jeden niesforny lok, ale tym razem owinął go sobie na palcu.

Trzęsącą się dłonią odsunęła jego rękę i pospiesznie zeszła na parter. Podązał za nią krok w krok.

– Zapomnijmy o całej sprawie – zażądała zdecydowanie.

– Czemu?

– Marc, zadajesz za dużo pytań.

– A ty nigdy nie odpowiadasz. Odwróciła się do niego.

– No, to ci odpowiem. Nie. Zaczął narastać w nim gniew.

– Co „nie”? Mam cię nie całować? Nie zadawać pytań? Nie troszczyć się o ciebie?

– Tak.

– Co „tak”? – zirytował się.

– Wszystko!

Odwróciła się do niego plecami, przeszła korytarzykiem do holu i otworzyła drzwi na oścież, niedwuznacznie wyprasząc go z muzeum.

Zacisnęła dłonie w pięści. Oho, znał ten objaw! Zaraz na nią ryknie, jak ojciec ryczał na tych, którzy ośmielili mu się przeciwstawić. Ale ta kobieta była niemożliwa, sama go prowokowała!

– W porządku – warknął przez zaciśnięte zęby i wyszedł. Nie wytrzymał jednak, odwrócił się na pięcie i spojrzał na nią z pogroźką w oczach. – Nie myśl, że tak łatwo się wywiniesz. Dam ci spokój, ale tylko na razie.

Wrócił do samochodu, cały czas myśląc o Hallie. Wyrzuciła go za próg, to fakt, ale nie powinien się tym zbytnio przejmować. Wcale nie chodziło o niego, bo podobał się jej tak samo jak ona jemu, co do tego nie było dwóch zdań. Ta dziewczyna miała jakiś poważny problem i wyraźnie walczyła ze sobą.

O co mogło chodzić?

Marc zamyślił się, bębniąc palcami po kierownicy. Nerwowość Hallie wcale nie wyglądała na jej normalną cechę. Czy to kradzież aż tak bardzo wytrąciła ją z równowagi? Ale to przecież nie powód, by napadać na obcego człowieka w budce telefonicznej i wydzierać mu słuchawkę z ręki. Ktoś do niej zadzwonił, a ona rozmawiała z nim w nienaturalny sposób. „To naprawdę dużo pieniędzy” – powiedziała wtedy.

Czyżby kradzież została sfingowana? Czy przedmioty zabrał i schował wspólnik, by Hallie mogła wystąpić o odszkodowanie?

Zastrzyk gotówki bardzo by się jej przecież przydał. Muzeum faktycznie wymagało remontu, dom również. Pięć dni w tygodniu harowała na porannej zmianie w najbardziej obłożonym barze w mieście, oprócz tego miała zajęte całe popołudnia w środy, soboty i niedziele. Ani jednego dnia wolnego! Może tak jej to dojadło, że postanowiła poradzić sobie inaczej.

Pokręcił głową. Nie, Hallie nie należała do osób, które zaryzykują i wejdą w

kolizję z prawem. Była na to zbyt uczciwa, czuł to. A nawet gdyby w tym przypadku zawodziła go wyćwiczona przez lata intuicja, fakty świadczyły na korzyść dziewczyny – chociażby ten płacz, gdy sądziła, że nikt jej nie widzi.

W porządku, da jej chwilę wytchnienia, a potem dobierze się do niej... To znaczy, do jej sekretu. Potrafił być cierpliwy, jeśli zachodziła taka konieczność. I gdy gra była tego warta.

Przez następne dwa dni Marc przychodził do „Javy” na śniadania i zawsze siadał w rewirze Hallie, nie mogła więc unikać rozmowy z nim. Ograniczał się jednak do żartobliwych uwag i nie poruszał kłopotliwych dla niej tematów.

Meg Delaney, właścicielka baru, obsługująca kasę, przyglądała się im uważnie.

– I jak ci idzie z naszą nową władzą? – zagadnęła, gdy Hallie wróciła za ladę z kolejną porcją zamówień.

Hallie zerknęła na wysoką, rudą kobietę, swoją szefową, a jednocześnie przyjaciółkę.

– Nie wiem, o czym mówisz. Meg wzięła się pod boki.

– Komu ty próbujesz mydlić oczy, dziewczyno?

– Między nami nic nie ma, jeśli o to ci chodzi. To taka luźna znajomość.

Meg spojrzała na komendanta policji, który nie spuszczał wzroku z jej najsympatyczniejszej kelnerki.

– Może z twojej strony – podsumowała. – Bardzo jestem ciekawa dalszego ciągu tej „luźnej znajomości”.

Moim zdaniem w końcu to on postawi na swoim, zobaczysz. Zakład?

Halne puściła słowa mimo uszu. Chwilowo miała poważniejsze rzeczy na głowie. Trący wciąż nie dawała znaku życia. Hallie obdzwoniła przyjaciół kuzynki, lecz nikt nie wiedział, gdzie ta niesforna dziewczyna się podziewa.

Przez to wszystko Hallie coraz gorzej sypiała. Doszło do tego, że w sobotę nad ranem wzięła w końcu jakiś łagodny proszek nasenny. Pomogło. Nie pospała jednak długo, ponieważ koło ósmej odezwał się telefon.

– Halo? – rzuciła niechętnie do słuchawki.

– Tu Marc. Obudziłem cię? Przepraszam. Gwałtownie usiadła na łóżku.

– Nic nie szkodzi – zapewniła.

– Dzwonię, bo otrzymaliśmy pewną informację w związku z kradzieżą w twoim muzeum. Rozesłaliśmy po posterunkach listę zrabowanych rzeczy. W jednym z lombardów w Santa Cruz pojawiły się świeczniki, które odpowiadają opisowi. Chcesz je zidentyfikować?

- Tak, oczywiście! Kiedy?
- Wpadnę po ciebie za pół godziny.
- Ty? Myślałam, że wyślesz do mnie kogoś ze swoich ludzi.
- Jest taki ładny dzień, że z przyjemnością zrobię sobie małą wycieczkę.

Hallie wyskoczyła z pościeli, pobiegła do łazienki, wzięła prysznic, ubrała się i uczesała. Pociągnęła rzęsy tuszem, a na policzki nałożyła nieco różu. Musiała jakoś wyglądać, przecież od razu po powrocie z Santa Cruz trzeba będzie otworzyć muzeum i oprowadzać zwiedzających. Fakt, że miała znaleźć się sam na sam z mężczyzną, na którego widok jej serce biło szybciej, nie miał nic wspólnego z tymi zabiegami. Nic a nic. Starła się zachować spokój, choć kosztowało ją to wiele trudu. Zastanawiała się, co oznacza informacja o świecznikach. Lepiej, żeby były jej, czy nie?

– Czuję się zaszczycona – powiedziała, zajmując miejsce obok Marca w jego lśniącej nowością samochodzie. – Sam szef policji zaangażował się w odzyskiwanie mojej własności.

Słuszna uwaga, pomyślał Marc. Rzeczywiście powinien zajmować się tym ktoś inny, ale... ale on nie zamierzał przepuścić okazji do spędzenia czasu tylko z Hallie. W „Javie” nie było mowy o żadnej prywatności.

– Dzięki temu zobaczę kawałek wybrzeża. Powiniennem jak najlepiej poznać okolicę – odparł gładko, a Hallie skinęła głową, bo jego słowa zabrzmiały przekonująco.

– Ładny wóz. – Przesunęła dłonią po pachnącej skórą tapicerce. – Też bym chciała kiedyś mieć nowe auto. Mechanik mówi, że moja toyota już długo nie pociągnie. Nie wiem, co wtedy zrobić. – Westchnęła ciężko.

Jechali wzdłuż oceanu. Woda migotała w słońcu, jednak na horyzoncie niebo wyraźnie ciemniało.

– Podobno ma padać – zauważył Marc.

– Tak, słyszałam w radiu. Deszcz pewnie wystraszy gości. Szkoda. Zwłaszcza że sezon turystyczny powoli się kończy... – Milczała przez chwilę, po czym obróciła się do Marca ze zmarszczonymi brwiami. – Słuchaj, czy to są na pewno moje świeczniki?

– Na dziewięćdziesiąt procent.

– Czyli jest jakaś szansa, że to pomyłka? – dopytywała z napięciem w głosie.

– Tak.

Dziwne, pomyślał. Powinna się cieszyć, a ona zachowuje się tak, jakby nie chciała odzyskać swojej własności. Wróciło do niego podejrzenie sfingowanej

kradzieży, chociaż wolałby o tym nie pamiętać.

Lombard znajdował się na przedmieściach Santa Cruz. Prowadził go wietnamski imigrant, który był autentycznie zadowolony z tego, że może pomóc policji i w ten sposób wykazać się obywatelską postawą wobec nowej ojczyzny. Szybko przyniósł z zaplecza srebrne świeczniki i postawił je na ladzie.

Na ich widok Hallie zmieniła się na twarzy.

– Och! Zaczął sprzedawać moje rzeczy!

– Kto? – spytał natychmiast Marc.

Wahała się przez ułamek sekundy, lecz to mu wystarczyło.

– Ten, kto je ukradł.

To potwierdzało jego podejrzenia. Wiedziała, kto zabrał przedmioty z muzeum. Niech to szlag, pomyślał z goryczą. Niech to szlag.

– Co się tak dziwisz? – spytał z gryzącą ironią. Po to się coś kradnie, żeby potem sprzedać.

Powinien zabrać ją na posterunek na przesłuchanie. Oczywiście, musiałyby przeprowadzić je kto inny, on nie byłby obiektywny, zbyt się zaangażował. Czuł się podle.

– Kto je przyniósł? – zwrócił się do właściciela sklepu.

– Młody mężczyzna, biały, brodaty, szczupły, w ciemnej bejsbolówce. Wydaje mi się, że przyjechał furgonetką, ale nie jestem pewien – odpowiedział nienaganną angielszczyzną Wietnamczyk. – Powiedział, że to pamiątka rodzinna. Nie sprawdzam przy każdym kliencie wszystkich list skradzionych rzeczy. Zorientowałem się dopiero wieczorem. To było w czwartek.

Marc przeniósł spojrzenie na Hallie, która wpatrywała się w świeczniki niemal z rozpaczą.

– Znasz jakiegoś młodego brodacza? – spytał.

Smutno pokiwała głową.

– Niejednego. Tu, na północy Kalifornii, spotkasz dziesiątki mężczyzn, którzy tak wyglądają.

– Ten ma furgonetkę, to trochę zawęża pole poszukiwań.

– Wcale nie. Co za problem wynająć samochód? – westchnęła.

Nie pojmowała, jak Trący mogła jej to zrobić. Przedmioty z muzeum stanowiły rodzinną świętość, sprzedawanie ich było nie do pomyślenia! Owszem, kuzynka miewała najdziwsze pomysły, ale nigdy dotąd nie posunęła się do skrzywdzenia kogokolwiek, a już na pewno nie chciałaby zranić Hallie, którą kochała najbardziej ze wszystkich.

Właściciel lombardu przekazał im świeczniki, po czym wrócili do samochodu. Marc szedł tak szybko, że Hallie musiała prawie biec, by za nim nadążyć. Na parkingu odwrócił się do niej gwałtownie.

– Dosyć tego, gadaj! – zażądał gniewnie. – Co wiesz o całej tej sprawie?

Emanowała z niego autentyczna furia, więc Hallie cofnęła się odruchowo.

– Nic – odparła, serdecznie nienawidząc samej siebie za te wszystkie kłamstwa.

Chwycił ją za ramię.

– Przestań wreszcie udawać – warknął przez zaciśnięte zęby. – Wiem, że coś przede mną ukrywasz.

Z trudem wyrwała się z jego uścisku i pomasowała bolącą rękę. Zauważyła przy tym, że Marcowi zrobiło się przykro. Przez moment wyraźnie walczył ze sobą, starając się opanować gniew. W końcu mu się udało.

Podszedł do samochodu i otworzył drzwiczki od strony pasażera.

– Wsiadaj – burknął.

Wślizgnęła się na swoje miejsce, mimo przygnębienia czując podziw dla Marca. Potrafił nie wykorzystywać swojej przewagi. Świadczyło to o wielkiej sile charakteru.

Usiadł za kierownicą, lecz nie zapalił silnika. Odwrócił się do niej.

– Pytam cię o to, co ukrywasz, ponieważ martwię się o ciebie. Czy to tak trudno zrozumieć? Jesteś w coś wplątana. Powinienem zabrać cię na przesłuchanie.

– Czemu?! – wykrzyknęła z przestraszeniem.

– Ponieważ mogłaś to wszystko ukartować. Spiorunowała go wzrokiem.

– Jak śmiesz tak myśleć?

Marc zaczął metodycznie odginać palce prawej ręki.

– Po pierwsze, masz swobodny dostęp do muzeum i znasz kod. Po drugie, podczas włamania nie włączył się alarm. Po trzecie, tuż po kradzieży odebrałaś tajemniczy telefon, ale nie w domu, lecz w publicznej budce telefonicznej, by nie został żaden ślad, że ktoś do ciebie dzwonił. Rozmawiałaś z tym kimś o pieniądzach, o dużych pieniądzach, więc to mógł być twój wspólnik. Po czwarte, ilekroć cię o to pytam, zaczynasz kręcić. Po piąte, dopiero co powiedziałaś, że zaczął sprzedawać twoje rzeczy, jakbyś wiedziała, kto to jest. Wniosek jest prosty. Sfingowałaś kradzież, żeby dostać odszkodowanie, ale twój wspólnik zaczął cię kantować. Wpatrywała się w niego z otwartymi ustami, oburzona i dotknięta do żywego.

– Ale... Ale to wszystko nieprawda! – wybuchnęła.

– Przysięgam!



W jego oczach widniało powątpiewanie.

– Przysięgam na grób moich rodziców – powiedziała z desperacją.

– W takim, razie o co tu chodzi? – zaatakował.

Zastanawiała się gorączkowo. Faktycznie, miał prawo zacząć ją podejrzewać, jej zachowanie musiało wyglądać dziwnie. Za nic nie chciała, żeby źle o niej myślał. Nie chciała też dłużej go okłamywać, paskudnie się z tym czuła. Ale jeśli powie mu prawdę, pamiątki rodzinne przepadną! Szantażysta zabronił jej przecież kontaktowania się z policją.

Chwileczkę. Złodziej już nie dzwonił, nie domagał się pieniędzy, zaczął sprzedawać jej rzeczy. A więc sam zerwał układ.

Czy w tej sytuacji może powiedzieć Marcowi całą prawdę?

– Możesz – zapewnił.

Drgnęła, zaskoczona. Musiała znowu nieświadomie wypowiedzieć na głos, co myśli! Cóż, może i dobrze się stało.

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Tak, to był telefon od złodzieja. Z żądaniem okupu. – Położyła dłoń na jego ramieniu. – Musisz mi uwierzyć, że niczego nie zaplanowałam. Ten człowiek nie jest moim współnikiem. Nie zrobiłam niczego niezgodnego z prawem.

Przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu, wreszcie skinął głową. Wierzył jej. Poczuli się tak, jakby zdjęto z jej ramion ogromny ciężar.

– Opowiedz o tym szantażu.

– Miałam zapłacić dwadzieścia pięć tysięcy dolarów za odzyskanie moich rzeczy. To było w poniedziałek. Złodziej zabronił mi pisać choćby słowo policji. Zagroził zniszczeniem moich pamiątek. Drugi raz zadzwonił we wtorek. Chciał wiedzieć, jak mi idzie organizowanie pieniędzy. Ja z kolei zażądałam dowodu, że naprawdę ma moje rzeczy. Skąd mogłam wiedzieć, czy to nie blef? Wtedy on opisał kilka przedmiotów. A zatem nie kłamał.

Tym razem Hallie zdołała ugryźć się w język. Nie zdradziła swoich podejrzeń co do udziału Trący w całej sprawie. Nie zamierzała wydawać kuzynki w ręce policji, najpierw musiała ją odnaleźć i spróbować jej jakoś pomóc.

Cofnęła dłoń z ramienia Marca i ze znużeniem przymknęła oczy.

– Odwiesił wtedy słuchawkę i więcej się nie odezwał. Nie wiem, dlaczego. Teraz zaczął pozbywać się moich rzeczy. Nic już z tego nie rozumiem.

Otworzyła oczy. Marc przyglądał się jej z troską, lecz już bez podejrzliwości. Nagle poczuła wyrzuty sumienia. Sądził, że wyznała mu całą prawdę, tymczasem ona zatrzymała dla siebie niezwykle ważną informację. W sumie nadał go

okłamywała. Niestety, nie miała wyboru.

– Teraz już jasne, czemu nie chciałaś mi nic powiedzieć – mruknął. – Czy jego głos wydawał ci się znajomy?

– Nie.

– Skąd wiedziałaś, że będzie do ciebie dzwonił?

– W poniedziałek rano znalazłam na podłodze list. Złodziej musiał wsunąć go pod drzwi, kiedy już okradł muzeum. Miałam czekać na telefon dokładnie o dziesiątej rano w budce na rynku, naprzeciwko sklepu z narzędziami.

Marc pokiwał głową.

– Taak... Zapamiętam tę budkę do końca życia.

– Wcale się nie dziwię. Drugi list przyniósł mi do „Javy”, to było we wtorek, miałam znów odebrać telefon w tym samym miejscu i o tej samej godzinie. Niestety, nie zachowałam żadnego z listów, bo nie sądziłam, że jednak opowiem o tym policji.

– Przyniósł ci list do baru? – Marc wpatrywał się w nią przenikliwie. – Czyli widziałaś go!

– Nie. Oddał list jednemu z kucharzy. Przytomnie wybrał najmniej rozbagniętego, ale jakoś wydusiłam z Robbiego opis. Pasuje do tego, który podał nam właściciel lombardu.

– To już jest jakiś trop.

Marc wyjął krótkofalówkę i wydał któremuś ze swoich ludzi rozkazy, by wezwano właściciela lombardu z Santa Cruz i kucharza Robbiego z baru „Java” i z ich pomocą sporządzono portret pamięciowy złodzieja, a następnie porównano go ze zdjęciami zarejestrowanych przestępców. Na posterunek miał też przyjść po południu specjalista od zdejmowania odcisków palców, żeby zdjąć je z pary świeczników.

Marc skończył rozmowę, włączył silnik i wyjechał z parkingu. Niebo zdążyło zasnuć się chmurami, zrobiło się szaro i chłodno, lecz Marc był w znakomitym nastroju. Hallie nie miała nic wspólnego z kradzieżą! Nic lepszego nie mógł usłyszeć.

– Zjedzmy po drodze lunch – zaproponował.

– Nie mogę, muszę otworzyć muzeum.

– Musisz też czasem jeść – zaproponował. – Znam cię ledwie od tygodnia, ba, nawet krócej, a mam wrażenie, że schudłaś przez ten czas. Zadzwoń do swojej asystentki, niech dzisiaj ona zajmie się muzeum.

– Ale jeśli przyjdą goście, nie będzie umiała ich oprowadzić. Jeszcze nigdy tego

nie robiła.

– A jak sobie radzisz, kiedy zachorujesz?

– Ja nigdy nie choruję.

Westchnął.

– Słuchaj, nawet jeśli sama nie chcesz jeść, to zlituj się nade mną. Zatrzymajmy się gdzieś, wprost umieram z głodu.

Zaśmiała się cicho, przypominając sobie jego śniadania w „Javie” i zadzwoniła do Carrie.

## Rozdział 5

Gęsta mgła pojawiła się nie wiadomo skąd. Marc ledwo widział drogę przed sobą.

– Ach, czyli to jest ta słynna północno-kalifornijska pogoda? Nieźle. Można wylądować na drzewie i nawet go nie zauważyć.

Po jakimś czasie na poboczu zamajaczyła tablica zapraszająca do restauracji. Marc skręcił w boczną drogę, wijącą się pod górę, i niedługo potem przystanął na pustym żwirowym parkingu przed jakimś budynkiem. Nie rozglądając się wokół zbyt długo, pobiegli szybko do wejścia, bo właśnie zaczęło padać.

W środku powitał ich niezwykle widok.

Mieli przed sobą przestronną, okrągłą salę, której ściany niemal całkowicie składały się z dużych okien. W słoneczny dzień musiała roztaczać się stąd zapierająca dech w piersiach panorama oceanu. Teraz za oknami kłębiła się mgła, wydawało się więc, jakby całe pomieszczenie unosiło się w chmurach...

Przy każdym oknie znajdował się wykwintnie nakryty stolik, oddzielony od innych artystycznie kutą metalową kratą.

Oboje byli pod wrażeniem.

– Hamburgerów to tu na pewno nie podają – skwitował Marc.

– I musi być bardzo drogo – szepnęła Hallie.

– A co tam! Raz się żyje.

Wkrótce zjawił się kelner i zaprowadził ich do stolika. Marc od razu zamówił dla nich obojga gorącą zupę, czując, że jeśli nie weźmie sprawy w swoje ręce, Hallie nic nie zje.

Tymczasem rozpadało się na dobre. Zerwał się mocny wiatr, a deszcz walił o szyby wielkimi kroplami.

– Uwielbiam deszcz – oznajmiła Hallie. Jej oczy lśniły. – W ogóle tu jest cudownie. Mam wrażenie, jakbyśmy ze zwykłego, codziennego życia trafili do jakiejś bajki. Ty nie?

Marc uśmiechnął się, ale nic nie odpowiedział. Nie miał ochoty nic mówić. Chciał tylko patrzeć. Nie na otoczenie. Na nią.

Teraz, kiedy wiedział, że nie popełniła żadnego przestępstwa, nie musiał już strzec się przed nią, mógł dopuścić do głosu tłumione emocje. Chyba najsilniejsza ze wszystkiego była w nim potrzeba chronienia Hallie. Jednak nie po ojcowsku. O, nie.

– Marc, czemu mi się tak przyglądasz?

– Bo jesteś piękna.

Uroczo zmarszczyła piegowaty nosek.

– Nie jestem, ale dzięki za komplement.

Nie wytrzymał, wyciągnął rękę i owinął sobie na placu kosmyk jasnorudych włosów.

– Mogę cię o coś spytać?

– A o co? – spytała ostrożnie.

– Kiedy przyszedłem wtedy po południu do muzeum, płakałaś. Dlaczego?

– Ach, to... Akurat patrzyłam na zdjęcie moich rodziców. Jedyne, na którym jesteśmy we trójkę. Zginęli – w wypadku samochodowym, gdy byłam bardzo mała. Wychowali mnie dziadkowie. Czasami... – urwała.

Marc przestał się bawić jej włosami i wziął ją za rękę.

– Mów dalej – poprosił.

– Czasami to mnie przerasta. Nie chcę się skarżyć, ale... Czuję się tak, jakbym dźwigała ogromny ciężar. Cała odpowiedzialność za utrzymanie muzeum spadła na mnie. Byłoby mi łatwiej, gdyby rodzice byli przy mnie. – Z zakłopotaniem wzruszyła ramionami. – Tak, wiem, w tym wieku nie powinno się tęsknić za mamusią i tatusiem, lecz nic na to nie poradzę.

Uścisnął jej dłoń.

– Myślę, że w każdym wieku człowiek potrzebuje wsparcia, zwłaszcza ze strony najbliższych. To naturalne.

Nagle Hallie poczuła się absolutnie bezpieczna. Przy Marcu mogła dać sobie radę ze wszystkim, stawić czoło wszelkim kłopotom. On był jak skała, na której ona mogła bezpiecznie się oprzeć. Z Fredem nigdy tak się nie czuła. W pewnym sensie przy Fredzie nadal była samotna.

– A od kogo ty dostajesz wsparcie? – spytała. Zaskoczyła go tym pytaniem. Zmarszczył brwi.

– Ja? Ja tego nie potrzebuję.

– Rozumiem. Prawdziwy mężczyzna nie przyzna się do takiej potrzeby. Chłopaki nie płaczą, tak?

Zastanowił się.

– Może coś w tym jest. Kobieta będzie szukać pociechy u drugiej osoby, a mężczyzna w takiej sytuacji pójdzie pobiegać albo napije się piwa, albo obejrzy mecz. Po prostu poszuka sobie czegoś, co go zajmie, odwróci uwagę. Nie wiem, czy zauważyłaś, ale kobiety i mężczyźni różnią się od siebie – dodał.

– Zauważyłam... Jednak wszyscy jesteśmy ludźmi, odczuwamy więc te same emocje, niezależnie od płci.

Tylko różnie sobie z nimi radzimy.

Marc ponownie uściśnął jej dłoń.

– Co do emocji, to przy tobie odczuwam ich szczególnie dużo – powiedział cicho.

Serce zabiło jej mocniej.

– Naprawdę?

– Tak. I dlatego cieszę się, że wreszcie wszystko mi powiedziałaś. Nie masz pojęcia, jakie to dla mnie ważne. Było mi przykro, że coś przede mną ukrywasz. Teraz nie mamy już przed sobą żadnych tajemnic. – Posłał jej szeroki uśmiech.

Poczuła ucisk w żołądku. Gdyby wiedział, że nadal częściowo go okłamuje...

– Ja też lepiej się z tym czuję – odparła.

Coś ciepłego delikatnie głaskało ją po policzku. Mmm, co za miłe uczucie...

– Hallie, obudź się – odezwał się głęboki męski głos. – Przyjechaliśmy.

Uniosła powieki i półprzytomnie rozejrzała się dookoła. Siedziała obok Marca w samochodzie zaparkowanym przed jej domem. Marc przestał gładzić ją po policzku, a jego dłoń spoczęła opiekuńczym gestem na ramieniu Hallie.

– Zasnęłam?

– Jak tylko ruszyliśmy spod restauracji. I bardzo dobrze, potrzebowałaś snu. – Po raz ostatni leciutko przesunął palcami po jej policzku, po czym wysiadł – z samochodu, obszedł go i otworzył drzwi od strony pasażera.

– Nie powinieneś tego robić, zmokniesz! – zaprotestowała.

Uśmiechnął się łobuzersko.

– Chłopaki nie płaczą i nie przeszkadza im, gdy mokną. Ale może ty chcesz parasol? Powiniennem mieć jakiś w bagażniku. Wyjąć?

– Nie, mówiłam ci, że lubię deszcz.

Wysiadła. Marc zatrzasnął drzwiczki, złapał ją za rękę i wbiegli na schody. Na werandzie popatrzyli na siebie w milczeniu. Jakoś żadne nie miało ochoty rozstawać się tak szybko.

– Dzięki za lunch – odezwała się Hallie.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Szkoda, że muszę już lecieć. Trzeba oddać te świeczniki do laboratorium, niech chłopaki zdejmą odciski palców. Ale zobaczymy się wieczorem.

– Jak to? Ach, tak, rzeczywiście.

– Zapomniałaś? No, ładne rzeczy. Na zaproszeniu napisano przecież, że jesteś jednym z gospodarzy wieczoru.

– Nie przesadzajmy. Za gospodarzy uznano wszystkich mieszkających tu nadal potomków rodzin, które założyły Promise. Cieszę się, że i ty będziesz. Nie wiedziałam, czy zamierzasz przyjść.

– Jak mógłbym nie przyjść na uroczystość z okazji sto dwudziestej rocznicy założenia miasta? Zarezerwujesz dla mnie jeden taniec w swoim karneciku? Nie, lepiej dwa.

Powiedział to lekkim tonem, lecz ta w gruncie rzeczy uroczym staroświecką prośbą wzruszyła ją głęboko.

– Z największą przyjemnością. Do zobaczenia. Ledwo zamknęła za sobą drzwi, zadzwonił telefon.

– Hallie? – odezwał się w słuchawce damski głos.

– Trący?! Gdzie ty się podziewasz? Co się z tobą dzieje? Nic ci nie jest?

Kuzynka wybuchła płaczem i wyjąkała przez łzy:

– Nic.

Hallie opadła na fotel, czując jednocześnie niebotyczną ulgę i narastający gniew.

– Czemu tak długo się nie odzywałaś? Odchodziłam od zmysłów z niepokoju o ciebie! Na pewno wszystko w porządku?

Trący pociągnęła nosem.

– Tak... No, prawie. Gdybym tylko nie była taka głupia...

– To ty okradłaś nasze muzeum, tak?

– Nie! To znaczy, nie chodziło przecież o prawdziwą kradzież – wyjęczała Trący. – Ja tylko mu się poskarżyłam, że nie chcesz mi dać moich pieniędzy, a on wymyślił, jak cię do tego nakłonić. Wtedy wydawało mi się to dobrym pomysłem... Nie miałam racji, teraz już to wiem! – zapewniła pospiesznie. – Strasznie cię przepraszam, za nic nie chciałam zrobić ci przykrości. Ja po prostu miałam dość traktowania mnie jak dziecka. Potrafię gospodarować własnymi pieniędzmi.

– Aha, więc żeby udowodnić, jaka jesteś dorosła i odpowiedzialna, obrabowałaś rodzinne muzeum – podsumowała Hallie. Do tej pory zawsze starała się jakoś pocieszać kuzynkę, ale tym razem sprawy zaszły za daleko. Wyrzuty sumienia dobrze zrobią smarkuli.

Trący ponownie zaczęła płakać w słuchawkę.

– Tak mi wstyd! Bardzo głupio się zachowałam.

Hallie westchnęła.

– No, przynajmniej teraz mówisz do rzeczy. Kim jest ten twój współnik?

– Nieważne.

– Jak to „nieważne”?

– O rany, mój chłopak, jeśli już musisz wiedzieć. To jest, były chłopak. Nic się nie martw, wszystko będzie w porządku. Oddamy, co zabraliśmy.

– Tak? To czemu świeczniki stryjenki Fay znalazły się w lombardzie w Santa Cruz?

– Przez nieporozumienie. To się więcej nie powtórzy. Obiecuję.

Ach, Trący i jej obietnice! Zawsze chciała dobrze i jakoś nigdy jej nie wychodziło.

– Mówmy o konkretach – zażądała Hallie. – Kiedy oddacie rzeczy?

– Niedługo. Nic się nie martw – powtórzyła Trący. – Cześć! – rzuciła krótko i rozłączyła się.

Świetnie, pomyślała z ironią Hallie. Trący przyznała się, że wspólnie ze swoim chłopakiem obrabowała muzeum, nie zdradziła, gdzie się podziewa i kiedy odda skradzione przedmioty, a Hallie ma się nie martwić.

Czy ta dziewczyna nigdy nie dorośnie?

Marc był pod wrażeniem. Uroczystość obchodów sto dwudziestej rocznicy powstania Promise odbywała się w najładniejszym miejscu miasta – w parku nad zatoką. Znajdował się tam duży, łagodny pagórek, porośnięty trawą, na którego płaskim szczycie rozbito ogromny namiot. Na wilgotnej trawie ułożono drewniane podesty, a na nich ustawiono długi stół z bufetem szwedzkim. Tuż obok znalazł się niewielki barek. Po przeciwnej stronie namiotu umieszczono podium dla kilkusobowego zespołu grającego stare, dobre przeboje. Na środku znajdował się parkiet do tańca, otoczony wianuszkami małych stolików, na których płonęły świece.

Przy wejściu witał gości sam burmistrz miasta, Len Baker, dawny przyjaciel Marca z wojska, oraz jego żona, Frań.

– No i jak ci idzie, chłopie? – spytał Len, kordialnie ściskając dłoń Marca.

– Dobrze. Komendant McKinney zostawił wszystko w takim porządku, że przejście po nim obowiązków to żaden problem. A propos, jak on się czuje?

– Lepiej. Oczywiście jeszcze nie wylizał się do końca po wylewie, ale to twardy gość, wyjdzie z tego. A jak kapitanowie Coe i Johnson? Nie podskakują zanadto?

– Nie. A nawet jak by zaczęli, to dam sobie radę.

Len klepnął go po plecach.



– Z ciebie też twardy gość. – Obrócił się do żony. – Opowiadałem ci już, jak Marc uratował życie mnie i trzem innym żołnierzom, wyciągając nas z bagna w dżungli, gdy stacjonowaliśmy w bazie na wyspie Guam?

– Jakies dwadzieścia razy – odparła z szerokim uśmiechem Frań.

– Nie przesadzajmy – zaproponował Marc. – Ja tylko rzuciłem wam linę.

– No, i sam jeden wyciągnąłeś z bagna czterech dorosłych chłopów naraz.

– Bo mi adrenalina skoczyła, to wszystko. Wtedy – każdego stać na wiele. Nie mówmy już o tym. – Naraz urwał, gdyż przy barze ujrzał prawdziwe zjawisko.

Len odwrócił się, by spojrzeć, co przykuło uwagę przyjaciela.

– Ach, nasza Hallie... Pewnie już się poznaliście? Przykra sprawa z tą kradzieżą. Są jakieś postępy w dochodzeniu?

– Odzyskaliśmy dziś parę świeczników. Znajdziemy i resztę. Dopadnę złodzieja, kimkolwiek jest. Przepraszam, muszę z nią zamienić dwa słowa.

Hallie właśnie skończyła sprawdzać, czy wszystko przygotowano jak należy. Nie przyznała się do tego przed Markiem, ale była jednym z głównych pomysłodawców i organizatorów uroczystości. Należała jednak do osób, które prędzej przemilczą swoje zasługi, niż się nimi pochwalać.

Spostrzegła, że Marc kieruje się w jej stronę, a jego spojrzenie zdradzało wyraźnie, że niepotrzebnie martwiła się swoim wyglądem. Miała na sobie sukienkę z różowego jedwabiu, prostą, na cienkich ramiączkach, kupioną wprawdzie przed czterema laty na ślub Joannie, ale ponieważ ciągle nie mogła sobie pozwolić na kupno nowej, więc nosiła ją na wszelkie uroczyste okazje. Ostatnio jednak zaczęła zastanawiać się nad sprawieniem sobie czegoś innego. Czy to nie głupio nosić różowe ubrania, gdy ma się prawie trzydzistkę? Może pora na coś bardziej seksownego?

Roziskrzony wzrok Marca mówił jej, że i w różowym wyglądała seksownie. Dawno nikt tak na nią nie patrzył... I to jego dzisiejsze wyznanie na temat emocji... Nie odpowiedziała mu wtedy, chociaż czuła to samo, musiała trzymać go na dystans, by chronić kuzynkę. Jednak w czasie kilku ostatnich godzin sytuacja uległa zmianie. Trący odezwała się i obiecała zwrócić zrabowane rzeczy. Czy zatem Hallie nie może swobodnie pójść za swoim pragnieniem?

Marc był coraz bliżej. Ależ on się wspaniale prezentował! Włożył świetnie skrojony granatowy garnitur, kremową koszulę i niebieski krawat – naprawdę było na co popatrzeć, zwłaszcza że elegancko ubrany mężczyzna stanowił w Kalifornii rzadki widok. W kwestii mody panowała tu wielka swoboda. Ludzie z reguły nosili się sportowo, stawiając na wygodę.

Hallie zdecydowała się. Do licha z tą nieodpowiedzialną smarkulą i jej zwariowanymi pomysłami!

Z determinacją postanowiła na kilka najbliższych godzin zapomnieć o swoich kłopotach i smutkach. O przeciekającym dachu, o psującym się samochodzie, o skradzionych przedmiotach, o żalobie po babci, o zerwanych zaręczynach z Fredem. Niech ta jedna noc należy do niej.

Marc stanął przed nią i z galanterią skłonił głowę.

– Dobry wieczór.

– Dobry wieczór – odparła. Mało brakowało, by dygnęła.

Dziwne, poczuła się nagle tak, jakby cofnęli się w czasie. Oto trwa bal, kawaler podchodzi do panny, prosi o taniec, ona skromnie spuszcza oczy...

Tylko że Hallie nie spuściła oczu. Nie chciała odrywać wzroku od twarzy Marca i nie miała na jego widok skromnych myśli, przeciwnie – bardzo nieskromne. Sądząc po jego minie, on miał podobne.

– Prześlicznie wyglądasz – powiedział z głębokim przekonaniem.

– Dziękuję. To stara sukienka, powinnam wreszcie kupić sobie coś nowego.

– Dla mnie jest nowa, widzę cię w niej przecież pierwszy raz.

Hallie uśmiechnęła się.

– Ty też pysznie wyglądasz.

– Pysznie?

Zarumieniła się. Nasunęło się jej takie słowo, ponieważ dosłownie miała ochotę go zjeść...

– No, fantastycznie. Ten garnitur leży jak ulał.

– Bo był szyty na miarę. Musiałem iść do krawca, w sklepie nic na mnie nie pasowało.

Spojrzała na jego szerokie ramiona, muskularny tors, płaski brzuch.

– Przy twojej budowie to nic dziwnego. Jesteś taki umięśniony... – urwała i zaczerwieniła się mocniej. To znaczy, tak ładnie umięśniony, nie jak ci kulturyści z okładek, oni mi się nie podobają... – Spłonila się jeszcze bardziej. – Nie, może nie rozmawiamy już o twojej budowie – wymruczała z zakłopotaniem.

Kąciki jego ust uniosły się w nieco krzywym, łobuzerskim uśmiechu.

– Porozmawiamy więc o twojej.

– Lepiej nie.

– W takim razie zatańczmy – zaproponował, ponieważ właśnie rozległ się wolny, niezwykle romantyczny kawałek.

Zaprowadził ją na parkiet. Ledwo znalazła się w jego ramionach, ogarnęło ją

poczucie, że to jest właśnie miejsce, w którym powinna się znajdować. Spłynął na nią spokój, smutki i problemy oddaliły się, a potem znikły.

Zamknęła oczy i z błogim westchnieniem oparła głowę na silnym ramieniu Marca. Mmm, jak dobrze...

– Mnie też – szepnął jej do ucha.

Znowu musiało wyrwać się jej coś na głos, lecz nie przejęła się tym. W tej chwili nie martwiła się absolutnie niczym. I o niczym już nie myślała. Płynęła po parkiecie w ramionach wspaniałego mężczyzny, który dawał poczucie bezpieczeństwa, i nic więcej nie było jej do szczęścia potrzebne.

– Hallie, przestali grać, zespół ma przerwę – odezwał się cicho Marc.

Uniosła głowę i rozejrzała się. Faktycznie, zostali sami na pustym parkiecie pośrodku namiotu. Wszystkie inne pary znikły, muzycy również, na podium zostały tylko oparte o krzesła instrumenty.

– Ojej, chyba tak trochę... odpłynęłam – wymruczała z lekkim zakłopotaniem.

– Dokąd? – spytał Marc, biorąc ją za rękę i prowadząc na bok.

– Nie wiem, ale z pewnością było tam bardzo miło.

– Już drugi raz dzisiaj tak odpływasz. Przedtem zasnąłś w moim samochodzie i spałś słodko jak anioł. – Naraz ściągnął brwi. – Może powinienem czuć się urażony, że tak łatwo przy mnie zasypiasz?

– Przeciwnie! Uznaj to za swego rodzaju komplement, dobrze?

– Skoro to komplement, czuję się wyróżniony. – Uniósł jej dłoń do ust i pocałował.

Znów miała wrażenie, jakby czas cofnął się o całe stulecie. Marc miał nienaganne maniery, co w Kalifornii stanowiło jeszcze większą rzadkość niż elegancki wygląd. Otwierał przed nią drzwi, całował w rękę, bardzo dobrze tańczył. Podobał się jej coraz bardziej i... bardziej.

– Umieram z głosu – powiedział. – Pójdziemy coś zjeść?

Zaśmiała się.

– Ja po tamtym lunchu jeszcze nie zdążyłam zgłodnieć, a zjadłam dwa razy mniej od ciebie.

– Nic nie poradzę, że tak szybko wszystko spalam. A jak spalę i nie dostanę kolejnej porcji, robię się zły.

– Och, w takim razie chodźmy!

– Cześć, Hallie! – tuż obok rozległ się wesoły głos Joannie, która właśnie podeszła do nich ze swoim mężem. Wyciągnęła dłoń do Marca. – Pan jest naszym nowym komendantem policji, prawda? Jestem Joannie Kingman, żona Toma.

Marc przywitał się z nią i z uśmiechem skinął głową podwładnemu. Tom, wysoki, nieco łysiejący blondyn, z niepokojem popatrywał na żonę. Uwielbiał ją bez granic – ze wzajemnością zresztą – ale jej rozmowność i wylewność już nieraz postawiły go w niezręcznej sytuacji.

– Mój mąż mówi, że w pracy wszyscy są pod wrażeniem. Podobno jest pan znakomitym szefem.

– Joannie, pana komendanta nie interesuje, co ja ci mówię w domu przy kolacji – wtrącił pośpiesznie Tom.

– Przeciwnie, bardzo mnie interesuje – zapewnił Marc. – Lubię wiedzieć, co ludzie naprawdę myślą. Cenię sobie opinie moich pracowników.

Tom przestąpił z nogi na nogę.

– Rozumiem, ale...

– Podobno nawet Bennett Coe i Larry Johnson siedzą cicho – ciągnęła z werwą Joannie, zachęcona do dalszych wywodów słowami Marca. – Kto by się spodziewał? Przecież oni się nie znoszą, no i każdy z nich liczył na pański stołek...

– Dość, kochanie, nie przyszliśmy tu, żeby rozmawiać o pracy – przerwał zdecydowanie Tom.

Hallie równie zdecydowanie ujęła Joannie pod rękę.

– Chodź, napijmy się wina i pogadajmy o damskich sprawach. Dziękuję za taniec, Marc – dodała jeszcze i pociągnęła gadatliwą przyjaciółkę w kierunku baru.

W barze dosiadła się do nich Meg Delaney.

– Kiedy rozpoczną się przemowy? Pytam, bo chcę się ulotnić, zanim zrobi się nudno.

– Obiecuję, że będą krótkie – odparła ze śmiechem Hallie. – Na pewno nie chcemy nikomu zepsuć wieczoru. Przeciwnie.

Joannie trąciła Meg łokciem w żebra i wskazała brodą przyjaciółkę.

– Popatrz tylko na nią. Właścicielka „Javy” pokiwała głową.

– Widzę. Oka z niego nie spuszcza.

Hallie odwróciła się do nich. Obie przyglądały się jej z figlarnym wyrazem twarzy.

– O czym wy mówicie?

– O tobie i nowym komendancie. Świetna z was para. Wiedziałam od samego początku, że coś się kroi – oznajmiła z triumfem Joannie.

Hallie zarumieniła się, zresztą nie po raz pierwszy tego wieczoru.

– Dajcie wreszcie spokój. Raz z nim zatańczyłam, to wszystko.

Meg aż parsknęła.

– To się nazywa taniec? Moim zdaniem to nie był taniec, tylko rytuał godowy. Od wieków nie widziałam cię w takim stanie, nawet przy tym nicponiu Fredzie. Przyznaj się, dziewczyno, wzięło cię, i to nie na żarty.

– No dobra, spodobał mi się – przyznała z ociąganiem Hallie. – Ale czy to dziwne? Wystarczy na niego spojrzeć.

Spojrzały. Wszystkie trzy. Marc, który rozmawiał z Tomem, jakby wyczuł na sobie ich wzrok, ponieważ odwrócił się i uśmiechnął.

– A to nas przyłapał – zachichotała Meg.

– Ja patrzyłam na mojego męża – zadeklarowała szybko Joannie i pomachała Tomowi ręką.

Hallie nie słyszała, co. mówią przyjaciółki. Miała wrażenie, jakby wszyscy znikli, a w całym namiocie znajdowali się tylko ona i Marc. Więcej, w całym wszechświecie. Sądząc po wzroku Marca, on odczuwał coś bardzo podobnego.

Joannie popukała ją w ramię.

– Język ci zwisa do samej podłogi, kiedy na niego patrzysz. Spróbuj wyglądać na trochę trudniejszą do zdobycia, dobrze ci radzę.

– Za późno – oceniła Meg. – Wpadła na całego. On zresztą też.

Marc skinął głową Tomowi i ruszył w stronę Hallie.

Chyba faktycznie wpadliśmy oboje po uszy, pomyślała w zachwyconym oszołomieniu. Oboje! Dobry początek...

## Rozdział 6

Marc robił wszystko, by parę następnych godzin spędzić w towarzystwie Hallie. Nie było to takie proste. Wpadało, by poznał wiele nowych osób, musiał więc co chwilę rozmawiać z kimś innym. Jednak gdy tylko nadchodził moment, kiedy mógł już wycofać się z rozmowy, przeproszał uprzejmie i porywał Hallie do tańca. Przypatrywano się im z uśmiechem.

Marc zdążył się zorientować, że Hallie cieszyła się ogromną sympatią mieszkańców Promise. Powszechnie nazywano ją „naszą Hallie”. Doskonale rozumiał, czemu tak bardzo ją lubiano. Od początku wyczuwał w niej ogromne ciepło i życzliwość, wyraźne nawet mimo zdenerwowania wywołanego przez kradzież i szantaż, których ofiarą padła. Tego wieczoru nie znać było po niej żadnych trosk. Promieniała, kwitła, rozdawała uśmiechy, rozsiewała radość. Nic dziwnego, że wszyscy ją kochali...

Wygłosiła też naprawdę piękne przemówienie. Dopiero wtedy wydało się, że wbrew swoim skromnym zapewnieniom jest jednym z głównych organizatorów całej uroczystości. Coraz bardziej ją podziwiał.

Po jedenastej, gdy część gości zaczęła się rozchodzić, Marc skorzystał z okazji i tak pokierował Hallie w tańcu, że udało się im niepostrzeżenie wydostać tylnym wyjściem z namiotu. Potem wystarczyło tylko pokonać kilkanaście łagodnych schodków, by znaleźć się w białej, drewnianej altanie. Tam porwał ją w ramiona i zrobił to, o czym marzył przez cały wieczór – zaczął ją bez opamiętania całować.

Potem nieco zwolnił, by móc rozkoszować się dotykiem jej miękkich i słodkich ust. Zmysłowy pocałunek trwał długo, długo, każąc Marcowi zapomnieć o całym świecie. Wreszcie dotarło do niego, że Hallie drży. Uniósł głowę.

– Zimno ci?

– Tylko wtedy, gdy się odsuwasz.

Czym prędzej zdjął z siebie marynarkę, okrył nią ramiona Hallie i ponownie przyciągnął dziewczynę do siebie.

– Cieszę się, że zmieniłaś zdanie. Poprzednio kazałaś mi przestać.

– Żartujesz? Tylko spróbuj. To znaczy, tylko spróbuj przestać.

Pociągnął ją za sobą na ławkę, posadził sobie na kolanach. Czule ujął w dłonie jej twarz i pocałował ponownie. Z rozkosznym jękiem przysunęła się bliżej.

Poczuł, jak jego ciało reaguje gwałtownie. Spokojnie, przykazał sobie. Bez pośpiechu, niech to trwa jak najdłużej. Zaczął całować jej powieki, skronie,

policzki, znowu usta, szyję, dekolt. Wygięła się do tyłu, by dać mu lepszy dostęp. Musiała przy tym poczuć, jaki jest podniecony...

Poniżej altany, przy namiocie, ludzie wymieniali życzenia dobrej nocy, rozchodząc się do domów i nie domyślając się, co dzieje się tuż obok. Marc przesunął ustami po skórze Hallie tuż nad rąbkiem dekoltu, zamknąwszy dłoń na drobnej, krągłej piersi.

Hallie wyprężyła się jak kotka spragniona pieszczoty. Była tak chętna, że Marcowi kręciło się w głowie z zachwytu. Nie miał pojęcia, czy da radę dłużej wytrzymać'. Przesunął drżącym palcem po twardym sutku, który wyczuwał wyraźnie przez cieniutki jedwab.

– Jak nie będziemy ostrożni, to grozi nam kompromitacja – wymruczał. – I to pełna.

– Nie możemy na to pozwolić – wyszeptała, przyciskając mocniej jego dłoń do swojej piersi. – Kustosza muzeum i komendant policji przyłapani na gorącym uczynku w miejscu publicznym? To byłoby źle widziane.

Przysunął usta do jej ucha i dotknął go językiem.

– To może odwiozę cię do domu?

– Nie mogę tu zostawić samochodu, bo wszystko się wyda.

– To przyjadę do ciebie. Zgódź się.

Wahała się przez moment. Marc wstrzymał oddech, czekając w napięciu na odpowiedź.

– Dobrze – odezwała się w końcu. – Ale muszę tu zostać jeszcze przez jakiś kwadrans.

– W takim razie będę o północy.

Wstali z ławki, pocałowali się jeszcze raz i wrócili do namiotu, nie dotykając się więcej. Nie czuli takiej potrzeby. Wiedzieli, że już niedługo będą mogli nacieszyć się sobą do woli.

Hallie stała na środku pokoju, rozglądając się bezradnie dokoła. Co teraz? Zdążyła już poprawić poduszki na kanapie, zapalić małą lampkę, dającą dyskretne, nastrojowe światło, i dla kurażu wypić pół kieliszeczka wina, które zostało po niedawnym małym przyjęciu dla przyjaciół. Wbiegła na górę, z ulgą zrzuciła pantofle na wysokich obcasach, ściągnęła narzutę z łóżka, odrzuciła na bok kołdrę. Nie, to zbyt... oczywiście. Ułożyła kołdrę z powrotem.

Cała się trzęsła – ze zdenerwowania i podniecenia. Chciała tego. Nie miała pojęcia, w co tak naprawdę się pakuje i właściwie jak do tego doszło. W ciągu

jednego wieczoru przeszła od niewinnego – no, prawie niewinnego – tańca do zaproszenia Marca do domu w środku nocy. Nie poznawała samej siebie.

Otworzyła drzwi szafy. Ma zostać w tej sukience, czy się przebrać? Czy otworzyć Marcowi w szlafroku? A może w ogóle bez niczego? Ta ostatnia myśl, kompletnie już zwariowana, wywołała nerwowy chichot. Spokojnie, weź się w garść, powtarzała sobie, drżąc z przejęcia. Zbiegła na dół.

Kiedy mu otworzy, powinna wyglądać na zupełnie opanowaną. Zaprosi go gestem do środka, zaproponuje wino, usiądą razem na kanapie, zaczną niezobowiązująco rozmawiać, myśląc jednocześnie o czym innym i wiedząc, że myślą o czym innym, no i od słowa do słowa...

A może będzie zupełnie inaczej? Może Marc wpadnie do środka jak burza, porwie ją na ręce, zanieśie na górę, co przy jego sile nie sprawi mu najmniejszego trudu i będzie się z nią kochał tak długo i tyle razy, aż oboje nie będą w stanie ruszyć nawet palcem...

Rozległ się natarczywy dzwonek do drzwi. Hallie aż podskoczyła. Spojrzała po sobie. No tak, ta sama sukienka, bose nogi. Trudno, zdecydowała i pospieszyła otworzyć.

Nie zdążyła powiedzieć nawet słowa.

Marc wtargnął do jej domu jak wichur, zatrzasnął za sobą drzwi, niemal brutalnie chwycił ją wpół, przyciągnął mocno do siebie i zaczął chciwie całować. A zatem wybrał drugi wariant. Jednak Hallie nagle straciła pewność, że właśnie o to jej chodziło.

Kiedy wyrwała się z jego objęć, najwyraźniej nie rozumiał, co się dzieje. Przyjechał tu w jednym, konkretnym celu, z góry ustalonym, i nie spodziewał się natknąć na żadne przeszkody. Tymczasem Hallie usiadła na kanapie na podwiniętych nogach i potarła dłońmi nagie ramiona, jakby zrobiło się jej zimno. Marc stał przy drzwiach, czując się jak idiota.

– O co chodzi? – spytał nieco chrapliwym głosem, kompletnie zbity z tropu.

Zadygotała.

– Przepraszam – powiedziała, z trudem łapiąc oddech. – Chyba... Chyba trochę się przestraszyłam. To stało się za szybko.

Zmarszczył brwi. Trzy kwadransy wcześniej była gotowa kochać się z nim. Aż trzęsła się z podniecenia. Sądził, że bez problemu będą kontynuować to, co zaczęli w altanie.

– Za szybko? – powtórzył, z największym trudem próbując przestawić się na myślenie.



Skinęła głową, patrząc na niego przeprasząco. Jej oczy wydawały się większe niż zazwyczaj. Malowała się w nich absolutna szczerść.

– Chcę tego. Naprawdę chcę – zapewniła.

– Wyczuwam, że jest jakieś „ale”. Zaprosiła go gestem, by usiadł obok niej.

– Czy możemy porozmawiać?

Marc aż jęknął w duchu. Porozmawiać? Czemu kobiety zawsze potrzebują rozmowy? Nigdy tego nie rozumiał. Czy nie można najpierw mieć przyjemności, a ewentualne problemy rozstrzygać później?

Podszedł do kanapy, usiadł i wziął Hallie za rękę.

– A może uda mi się jakoś cię przekonać, że rozmowę powinniśmy odłożyć na potem? – spytał zachęcającym tonem i uśmiechnął się.

Próbowała odpowiedzieć uśmiechem, lecz wypadło to dość blado. A zatem cokolwiek ją dręczyło, musiało być poważne. Troska o nią okazała się silniejsza od pożądania.

– Co się dzieje? – spytał łagodnie.

Spuściła wzrok. Przez chwilę bawiła się jego palcami, jakby potrzebowała czasu, by znaleźć odpowiednie słowa.

– Wiem, teraz najpierw idzie się do łóżka, a dopiero potem rozmawia się – powiedziała w końcu cicho. – Ja jednak jestem dość staroświecka, przepraszam. Dla mnie to nie może być takie, ot... To musi być coś więcej niż... No, to musi być coś więcej.

Te słowa zabolowały go. Mocno. Mocniej, niż mógł się spodziewać. W pierwszym odruchu chciał odparować cios, odpowiedzieć jej czymś równie bolesnym. Nie, przykazał sobie zdecydowanie. Wysłuchaj jej do końca.

– Po prostu nie angażujesz się w przelotne przygody, tak?

– Tak.

– I to, co jest między nami, to dla ciebie taka przelotna przygoda?

Mimo wysiłków Marca, by ukryć żal, Hallie wyczuła go.

– Och, nie! – zawołała natychmiast. – Absolutnie nie!

– To dobrze – odparł z ulgą. – Bo dla mnie seks z tobą byłby czymś naprawdę wyjątkowym. Naprawdę – podkreślił z mocą.

– Marc, nie chciałam cię urazić, wybacz. Po prostu poprzednim razem... Nieważne.

Poprzednim razem? Do tej pory w ogóle nie zastanawiał się nad obecnością innych mężczyzn w jej życiu i szczerze powiedziawszy, nie miał ochoty zaczynać. Troska o jej dobro znowu przeważała.

– Powiedz. Co było poprzednim razem?

– Ktoś złamał mi serce.

– Kiedy?

– Rok temu.

Znowu poczuł dotkliwy ból, tym razem z powodu zazdrości, o jaką nawet się nie podejrzewał.

– Wciąż ci na nim zależy?

– Nie!

– To dobrze.

Uniósł jej dłoń do ust i ucałował. Raz. Drugi. Trzeci. Skóra Hallie miała smak miodu.

Sądząc po reakcji, podobało się jej to, co robił. Bezwiednie przymknęła oczy i uśmiechnęła się zmysłowo.

– Obiecałam sobie, że następnym razem będę uważać... – powiedziała zmienionym głosem.

– Rozumiem – odparł, całując jej przedramię, potem wrażliwe i delikatne miejsce po wewnętrznej stronie łokcia.

– I że nie dam sobie znowu złamać serca... Podniósł na nią poważny wzrok.

– Hallie, co ty właściwie próbujesz mi powiedzieć?

– Otworzyła oczy.

– Sama nie jestem do końca pewna – wyznała. Chyba to, żebyś nie brał tego tak lekko, bo ja tak nie potrafię. I żebyś nie potraktował mnie źle.

Znów poczuł się zraniony, lecz tym razem nie mógł już milczeć.

– A co ja jestem? Jakiś kobieciarz? Tak właśnie o mnie myślisz?

– Och, nie! Wiem, że jesteś człowiekiem honoru.

Wzruszył ramionami.

– To z kolei przesada w drugą stronę. Staram się być po prostu odpowiedzialny. Nigdy nikogo nie zwodzę. Nie obiecuję tego, czego nie mógłbym dotrzymać.

– Wiem. Czuję to. Ale ja się po prostu boję.

– Dlaczego?

Przesunęła wolną dłoń po oparciu kanapy.

– Fred, mój narzeczony, zostawił mnie na miesiąc przed ślubem. Wszystko było gotowe, a on uciekł. Wyjechał z miasta. Nawet nie powiadomił mnie osobiście, tylko przysłał list. Wyobrażasz sobie? Drań!

Marc pokiwał głową.

– Lepiej, że to się okazało przed ślubem niż po...

– Ale zawsze mówił, że chce tego samego co ja! Zapuścić korzenie, mieć dom, dzieci... A potem nagle napisał, że nie może osiedlić się na stałe w naszym miasteczku, bo to jak zamknięcie w klatce, on tak nie potrafi...

Tym razem Marc nie odpowiadał przez chwilę.

– Rozumiem – powiedział wreszcie bardzo cicho.

Zapadło milczenie. Słyszeć było tylko tykanie zabytkowego zegara na kominku.

Marca ogarnął niewymowny smutek. Powoli zaczynało do niego docierać znaczenie słów kobiety, której pragnął bardziej, niż mógł to sobie wyobrazić. Sądził, że spędzą tę noc razem... Czuł się obrabowany z czegoś pięknego i cennego. To było niesprawiedliwe.

– A więc teraz wolisz sprawdzić, czy mężczyzna podziela twoje najgłębsze przekonania. Oddasz się tylko temu, z którym miałabyś szansę na wspólną przyszłość.

Hallie zastanawiała się przez dłuższą chwilę.

– To zabrzmiało, jakbym była wyrachowana... – rzekła ze smutkiem. – Ale generalnie masz rację. To jest chyba trochę tak jak z wiarą. Jeśli ma ona dla kogoś duże znaczenie, dobrze jest poszukać osoby, która myśli podobnie. Albo jeśli ktoś bardzo chce mieć dzieci, powinien znaleźć kogoś, kto też ich pragnie. W przeciwnym razie rodzą się dramaty.

– Na wszelki wypadek lepiej zabezpieczyć się przed faktem?

– Marc, to nie jest nadmierna ostrożność czy tchórzostwo. Ja po prostu zbyt wiele w życiu straciłam. Najpierw rodziców, potem kolejno oboje dziadków i narzeczonego. Za każdym razem musiałam coś w sobie i w swoim świecie odbudowywać. Nie dam rady zrobić tego ponownie. Moja odporność się wyczerpała. Muszę wreszcie zacząć chronić samą siebie.

Znowu zapanowało milczenie. Zaczęło padać. Krople deszczu jednostajnie uderzały o szyby.

– Przepraszam. Chyba zepsułam nastrój...

Marc podniósł się. Nie mógł już dłużej usiedzieć na miejscu. Zaczął krążyć po pokoju. W porządku, porozmawiali. Szkoda, że porozmawiali. Nie doprowadziło to do niczego dobrego. Ale on nadal jej pragnął, i to bardziej niż kiedykolwiek. Wreszcie przystanął przed kominkiem. Nie wiedział, co ze sobą począć. Spojrzał na wiszącą na ścianie martwą naturę z owocami i dzbankiem, jakby szukając w obrazie ratunku.

– To obraz mojego stryjecznego pradziadka Ruperta – odezwała się Hallie. –

Zaczął malować, gdy miał osiemdziesiąt lat.

Marc skinął głową Rupertowi. Cenił dzielnych mężczyzn. Nie. Cenił dzielnych ludzi. Odwrócił się ku Hallie.

– Po tym, co powiedziałaś, nie mamy szans na dalszy ciąg. Przecież ja za pół roku wyjeżdżam.

– Jak to?!

– Tylko tymczasowo zastępuję McKinneya, który albo wróci do służby, albo przejdzie na wcześniejszą emeryturę.

– Nie miałam pojęcia... – wyjąkała.

– Myślałem, że wiesz.

Teraz ona poczuła bezbrzeżny smutek i rozczarowanie. Tymczasem Marc ciągnął z kamienną, pozbawioną wyrazu twarzą:

– Chyba jestem podobny do Freda. Nie planuję osiedlić się w małym miasteczku, zapuścić korzeni.

Przynajmniej nie w najbliższym czasie. Zresztą pewnie w ogóle nie. Co do dzieci... Ty chcesz je mieć, a ja chyba nie bardzo. Nie byłbym dobrym ojcem. Nie wiedziałbym, co robić. Znam tylko dyscyplinę. Żelazną dyscyplinę. I surowe kary za jej złamanie. Nie, nie powinienem mieć dzieci. Skrzywdziłbym je.

Chciała zaprotestować, lecz poprosił gestem, by dała mu dokończyć.

– Główny problem polega na czym innym – ciągnął. – Dopiero co przeszedłem do cywila. Przez te wszystkie lata ktoś inny decydował, w jakiej bazie mam przebywać, co jeść, o której godzinie wstawać. Nie żałuję tego, bo miałem poczucie, że wykonuję dobrą robotę i służę krajowi. Teraz jednak chcę być zupełnie wolny. Żadnych zobowiązań. Koniec. Nie zrozum mnie źle. Podoba mi się w Promise. Spotkałem tu wspaniałych ludzi. Będzie mi żal wyjeżdżać. Ale wyjadę. Świat jest wielki, mam tyle rzeczy do zobaczenia. – Wyprostował się. – To tyle. Ostatnie słowa zabrzmiały jak wyrok.

– Czyli z mojego punktu widzenia najgorsza opcja – powiedziała powoli Hallie.

– Na to wygląda.

Łzy zaczęły spływać jej po policzkach. Nie potrafiła ich powstrzymać, podobnie jak nie potrafiła powstrzymać Marca przed wyjazdem z Promise.

– Nie wiedziałam... – powtórzyła bezradnie.

– O rany, nie płacz! Hallie, proszę. Nie chciałem, żebyś była nieszczęśliwa.

– Wiem. – Pociągnęła nosem. – To nie twoja wina. Wszystko przeze mnie.

Dlaczego nikt nie chce ze mną zostać?

Marc podszedł, przykląkł przed nią, ujął ją za rękę.

– Ja chcę z tobą zostać – zapewnił. – Tylko nie na zawsze. Czy to tak trudno zrozumieć?

Ponownie pociągnęła nosem, niezdolna do wydobycia z siebie nawet słowa.

– Hallie, istnieją różne rodzaje związków – przekonywał. – Jedne dłuższe, inne krótsze, ale czy przez to zupełnie bezwartościowe? Pragnę cię, ty mnie też.

To nie jest żadna przelotna zachcianka, wiesz o tym.

To nie jest byle co. Byłoby nam dobrze razem.

Uścisnął jej dłoń, podniósł się i usiadł obok niej na kanapie.

– A gdybym przyszedł, złapał cię na rękę i zaniósł do łóżka?

– Nie protestowałabym.

– Nawet gdybym się z tobą kochał?

– Nawet. Ale potem powiedziałabyś mi, że wyjeżdżasz, a wtedy byłoby jeszcze gorzej. Wiedziałabym, co tracę i czego nie będę więcej mieć. Tak mogę się tylko domyślać. Domyśły nie bolą aż tak bardzo jak doświadczenie...

Z desperacją przejechał dłonią po krótko ostrzyżonych włosach.

– Czyli mamy sytuację bez wyjścia? Tak czy siak będzie niedobrze?

– Przykro mi. Naprawdę nie mogę zaangażować się ponownie i zostać sama. A jak nie poradzę sobie z tym? Za duże ryzyko. – Spuściła wzrok. – Wierzę, że kiedyś zjawi się ktoś, kto pokocha to miasto, zechce ze mną zostać na zawsze, mieć dzieci... – Zaczęły ogarniać ją coraz silniejsze emocje. Przycisnęła dłoń do serca. – Ja naprawdę potrzebuję rodziny. Mam tyle miłości do ofiarowania... Nie chcę ciągle rozpieszczać pociech moich przyjaciół i na zawsze zostać tylko cicią Hallie.

– Nie mów jak stara panna, przecież nie masz jeszcze trzydziestki, zdążysz!

– Oby... Synek Meg właśnie idzie do szkoły, Joannie i Tom planują drugie dziecko. Chciałabym mieć to samo, co moje przyjaciółki. W tej sytuacji nie powinnam angażować się w krótkotrwałe związki.

Marc podniósł się znowu i ponownie zaczął krążyć po pokoju. Hallie nie spuszczała z niego wzroku, czując, jak wbrew wszelkim słownym deklaracjom jej ciało pożąda tego mężczyzny coraz bardziej. Był pełen energii i mocy, mogłaby teraz rozkoszować się jego siłą...

– Trochę mnie to niepokoi – odezwał się w zamyśleniu Marc, nie przestając chodzić od ściany do ściany.

– Zaplanowałaś sobie dokładnie, czego chcesz, i uzależniasz swoje szczęście od tego, czy to się przydarzy, czy nie. – Naraz przystanął przed nią, a jego dłoń zaciśnęły się w pięści. – Dużo widziałem, Hallie. Ludzi rozerwanych przez wybuch

miny, ofiary katastrofy helikoptera, ofiary wypadków samochodowych, samobójców, bite żony, molestowane dzieci. Życie jest okrutne, a w najlepszym razie kompletnie nieprzewidywalne. Akurat ty powinnaś o tym wiedzieć, przecież wcześniej straciłaś rodziców. Dlatego ja nie mam takich marzeń i nie snuję dalekosiężnych planów. Biorę to, co dobrego życie oferuje mi w danym momencie, i jestem wdzięczny. Nie wiem, co będzie jutro, więc cieszę się tym, co jest dziś. Taka jest moja filozofia.

Ogarnęło ją ogromne współczucie. Miała ochotę go dotknąć, by okazać ciepło i życzliwość, ale wołała nie ryzykować.

– Rzeczywiście dużo widziałeś... – szepnęła. Może za dużo. Trudno znieść tyle ludzkiego cierpienia.

Wzruszył ramionami, a jego twarz była nieruchoma jak maska.

– Nie ma potrzeby uważać się nade mną. Dam sobie radę.

– Rozumiem. Nauczono cię być twardym.

– Dokładnie.

Rozluźnił pięści i potarł dłonie, żeby przywrócić w nich krążenie.

– Wiesz, co? Lepiej pójdę, zanim wdamy się w dyskusję o Bogu i sensie życia, bo ta rozmowa wyraźnie do tego zmierza.

– Wierzysz w Boga?

– Po tym, co widziałem... nie. Ale nie wykluczam możliwości, że kiedyś zmienię zdanie. – Odwrócił się i podszedł do drzwi. Hallie wstała i podążyła za nim. Marc położył dłoń na klamce, zawahał się i spojrzał na Hallie ze smutnym uśmiechem.

– Które z nas wygłosi nieśmiertelną frazę: „mam nadzieję, że pozostaniemy przyjaciółmi”?

– Mówisz tak, jakbyś nie wierzył, że to w ogóle możliwe.

– Przykro mi, moim zdaniem nie da się zaprzyjaźnić z kobietą.

– Dlaczego?

– Bo nie sposób zapomnieć o różnicy płci. Zwłaszcza przy tobie, zapewniam cię. – Poglądził ją po policzku i szybko cofnął dłoń. – Wyglądasz na zmęczoną. Powinnaś odpocząć.

– Nie gniewasz się za to, co się stało? A raczej za to, że... że nic się nie stało?

– Nie, już nie – powiedział z ciężkim westchnieniem. – Jestem rozczarowany jak diabli, to fakt, ale nie zły. – Nieoczekiwanie skradł jej całusa na pożegnanie i otworzył drzwi. – Dobranoc, kładź się spać. Beze mnie... – dodał smutno i wyszedł.

–

## Rozdział 7

Przez całą niedzielę Marc nie potrafił znaleźć sobie miejsca. Czuł się nieswojo, gnębiło go poczucie straty. Próbował je zagłuszyć, wynajdując sobie rozmaite zajęcia. Przygotował solidne śniadanie, rozpakował się do końca, urządził się w wynajętym mieszkaniu, przebrał się do joggingu, pobiegał, zrobił sobie solidny lunch, wybrał się na wycieczkę motorem po autostradzie wzdłuż brzegu oceanu, zjadł dobry obiad... i nic mu to wszystko nie pomogło.

Musiał wreszcie spojrzeć prawdzie prosto w oczy. To myśl o Hallie nie dawała mu spokoju. Czy poprzedniej nocy mógł inaczej rozegrać sprawy? Teoretycznie tak. Wystarczyłoby nie zdradzać się z planami wyjazdu, pozwolić, by Hallie trwała w przekonaniu, że osiadł w Promise na stałe, nie wyprowadzać jej z błędu. Ale on nigdy nie posunąłby się do oszukiwania kobiety, nawet tak upragnionej jak Hallie.

Nie zamierzał osiąść na stałe ani w tym miasteczku, ani w żadnym innym. Ani z nikim się wiązać. Zamierzał pozostać wolnym człowiekiem, to jedno wiedział na pewno. Jednak po raz pierwszy ta myśl nie sprawiała mu radości. Pałaca potrzeba wolności uniemożliwiała mu realizację innej, równie palącej...

Nie chodziło tylko o seks. Chciał pobyc z tą kobietą, której dobroć, szczerść i uśmiech działały na niego kojąco jak balsam. Rzeczywiście dużo widział i przeżył. Hallie wносиła do jego życia coś, czego nigdy przedtem nie doświadczył – ciepło. Chciałby trochę się ogrzać. Proste.

Czy kobiety zawsze musiały komplikować proste sprawy? Czemu nie mógł jej mieć, skoro oboje tak bardzo tego chcieli? I czemu aż tak bardzo się tym przejmował? Przecież nawet nie była w jego typie, ani z wyglądu, ani z charakteru. Nigdy dotąd nie gustował w spokojnych, miłych kobietach z małych miasteczek, kobietach, które najwyżej cenią rodzinę, dzieci, dom...

Do Ucha, ale go wzięło! Jak nigdy. Wcale mu się to nie podobało. Był wściekły na Hallie, na siebie, na wszystko. Chętnie by komuś przyłożył. Oho, niedobrze! Natychmiast wziął się w garść. Nie pozwoli, by o władnęła nim frustracja, bo jeśli tak się stanie, złe emocje w końcu będą musiały znaleźć sobie jakieś ujście, co niezawodnie skrupi się na otoczeniu. Nie. Nie będzie postępował jak ojciec. Zrobi wszystko, by nigdy nikogo nie skrzywdzić.

Ten weekend wykończył ją zupełnie. W poniedziałek rano miała ochotę zadzwonić do baru i powiedzieć, że nie przyjdzie, bo jest chora. Jednak poczucie

odpowiedzialności i lojalność wobec Meg przeważały. Ostatkiem sił powlokła się do pracy.

Przez cały ranek podświadomie czekała na Marca, lecz on po raz pierwszy nie przyszedł do „Javy” na śniadanie. Dopiero wtedy uprzytomniła sobie z całą jasnością, ile planów i marzeń wiązała z tym wysokim, barczystym policjantem.

– No i jak? – spytała z szerokim uśmiechem Meg, gdy Hallie czekała, aż kucharz wyda jej jedno z zamówionych śniadań.

– W porządku – odparła, z trudem przywołując na twarz blady uśmiech.

– Wyglądasz na zmęczoną. Czyżbyś spędziła ten weekend bardzo aktywnie? – Meg sugestywnie uniosła brew, a potem mrugnęła.

– Po prostu się nie wyspałam.

– No, mam nadzieję! – zawołała Meg. – Koniecznie chcę znać szczegóły!

– Kiedy ja naprawdę nie mam nic do powiedzenia. .. – zaczęła Hallie, ale przerwał jej głos Robbiego:

– Jajecznica na bekonie na ósemkę!

Z ulgą wzięła od niego talerz, by zanieść go do stolika numer osiem, unikając w ten sposób dalszych pytań Meg.

– Jak będziesz miała przerwę, opowiesz mi resztę!

– zawołała za nią przyjaciółka.

Hallie nie miała ochoty na zwierzenia. Po pierwsze, nic się nie wydarzyło, po drugie... wydarzyło się za dużo. Zakochała się. Wszystko na to wskazywało.

W sobotni wieczór Marc najczęściej prosił do tańca ją, lecz tańczył też z innymi kobietami. Wtedy ogarniała ją zazdrość. Wiedziała, że on i tak wróci za chwilę, by znów zabrać ją na parkiet, ale wołałaby, żeby był tylko dla niej. Nie miała ochoty nikomu go oddawać, choćby i na parę minut.

Gdy ktoś robił jakąś uwagę na temat ich dwójga, bagatelizowała sprawę, ale w duchu aż pękała z dumy, że ten przystojny, budzący podziw przybysz wybrał właśnie ją.

Czemu więc uparła się, by tamtej nocy poważnie porozmawiać, zamiast – jak radził Marc – cieszyć się tym, co jest? Coś w niej nie mogło tego odżalować. Wyrzekła się wyjątkowego przeżycia w imię dojrzałości i odpowiedzialności. Ani przez moment nie wątpiła, że postąpiła słusznie. Niestety, w niczym to nie zmniejszało ogromnego poczucia żalu.

Gdyby tylko umiała go jakoś przekonać, by zmienił zdanie i zechciał zostać... Gdyby znalazła klucz do jego serca... Nie, to mrzonki. Kobiecie zawsze się wydaje, że jej uczucie odmieni mężczyznę, a potem nigdy nic z tego nie wychodzi. Nie



można oczekiwać od drugiej osoby, by się zmieniła. Albo akceptuje się ją całkowicie ze wszystkimi jej cechami i poglądami, albo trzeba się zawczasu wycofać. Hallie wycofała się zatem, lecz nie mogła przestać myśleć, jak byłoby im dobrze ze sobą. Naprawdę dobrze.

– Wszystko przepadło – szepnęła.

Skończyła pracę, przełożyła napiwki z kieszeni do portmonetki i wyszła. Chwilę później usłyszała za sobą głos Meg:

– Hallie, zaczekaj!

Odwróciła się z ociąganiem. Nie czuła się na siłach, by kontynuować temat jej relacji z Markiem, a na to się zanosilo. Jednak z drugiej strony nie chciała sprawiać przykrości osobie, której tyle zawdzięczała. W zeszłym roku właścicielka „Javy” szukała nowej kelnerki. Zatrudniła Hallie, chociaż ta jako jedyna ze wszystkich kandydatek nie miała żadnego doświadczenia w tej pracy. Dostała tę posadę, ponieważ potrzebowała jej bardziej niż ktokolwiek inny. Muzeum ledwo zarabiało na siebie i Hallie rozpaczliwie szukała źródła dodatkowych dochodów. Meg zaryzykowała i przyjęła ją.

Teraz przyjaciółka stanęła przed nią i wzięwszy się pod boki, spytała:

– Co się dzieje? Tylko nie mów, że nic. Mam oczy i widzę.

– Nie gniewaj się, ale nie mam ochoty o tym rozmawiać.

– Czy to dotyczy ciebie i Marca?

– Meg, proszę... Nie teraz. Kiedy indziej.

Przyjaciółka spoważniała jeszcze bardziej.

– Czy on cię skrzywdził? Niektórzy faceci z armii czy policji potrafią być brutalni.

Hallie uspokajającym gestem położyła dłoń na ramieniu Meg.

– Och, nie, nic z tych rzeczy!

Ale Meg nie wyglądała na przekonaną. Jej oczy błysnęły złowrogo, twarz przybrała wyjątkowo wojowniczy wygląd.

– Na pewno? Bo wiesz, jeśli on coś ci zrobił, to ja...

– Dzięki, jesteś kochana, ale naprawdę nic takiego się nie stało. Marc jest najbardziej rycerskim mężczyzną, jakiego znam.

– Więc o co chodzi? Przetańczyliście ze sobą pół wieczoru, a gdy wychodziłaś, nie miałam wątpliwości, że spieszysz się do domu nie po to, by się porządnie wyspać...

Hallie nie odpowiedziała.

– Przepraszam, nie chciałam być wścibska, ja po prostu martwię się o ciebie.

Tamtego wieczoru wyglądaliście na bardzo szczęśliwych. Szczerze mówiąc, myślałyśmy obie z Joannie, że po tej z historii z Fredem nikomu już nie zaufasz i bardzo nam to leżało na sercu. Nie masz pojęcia, jak się ucieszyłyśmy, gdy Marc zaczął się koło ciebie kręcić! Pytam więc z troski, a nie z ciekawości. Wyglądało na to, że wszystko idzie w dobrym kierunku! Hallie westchnęła.

– Dobrze, powiem ci. Sprawa jest prosta, każde z nas chce czego innego. On ma ochotę na przelotny romans, ja szukam kogoś na stałe.

Meg ściągnęła brwi.

– Przecież jedno drugiemu nie przeszkadza. Stałe związki zaczynają się właśnie od tego, że ludzie mają na siebie ochotę, bo niby od czego? A wy jesteście na siebie tak napaleni, że ślepy by to zauważył. Przepraszam za dosadność.

– Masz rację, ale akurat w tym przypadku to się nie sprawdzi. Ten romans nie ma szans przerodzić się w coś poważniejszego, bo Marc pracuje tu tylko tymczasowo. Za pół roku wyjeżdża. Chce być wolny, a nie uwiązany w jednym miejscu, sam mi to powiedział. Jest jak Fred. Nie mogę więc niczego zaczynać, bo ja się zaangażuję, potem on wyjedzie, ja zostanę. Nie, nie dam rady przejść przez to drugi raz.

Meg zachnęła się.

– Co ty opowiadasz, dziewczyno? On jest jak Fred? Bzdura, nie są ani trochę podobni! Nigdy ci o tym nie mówiłam, ale ucieszyłam się, kiedy Fred wyjechał. Moim zdaniem był kompletnie beznadziejny. Całe szczęście, że nie chciał się żenić.

– Naprawdę? Skoro tak myślałaś, to czemu mnie przed nim nie ostrzegłaś?

– A gdybym się myliła i zniechęciła cię do właściwej osoby? Skąd mogłam wiedzieć, czy Fred nie ma ukrytych zalet? Wrażenia bywają bardzo mylące. I te pozytywne, i te negatywne. Przekonałam się o tym na własnej skórze... – dodała smętnie.

Hallie wiedziała, co przyjaciółka ma na myśli. Meg przyjechała do Promise przed kilku laty z zamiarem otworzenia niewielkiej restauracji. Miała ze sobą małego synka, jej mąż nie żył. Atrakcyjna wdowa przyciągała uwagę mężczyzn, więc ciągle ktoś się przy niej kręcił. Meg zaangażowała się parę razy, lecz każdy z tych związków niestety zakończył się wielkim rozczarowaniem.

– Wiesz, trochę mi pomogło to, co powiedziałaś o Fredzie. Dzięki temu nie czuję się już taka ostatnia, której nikt nie chce.

– Ostatnia? Ty? – wykrzyknęła ze zdumieniem Meg. – Chyba żartujesz! Jesteś wyjątkowa. Zobacz, jak się spodobałaś Marcowi. Jeśli z nim ci nie wyjdzie, zjawi

się ktoś następny. Przekonasz się!

Hallie uściśnęła przyjaciółkę z wdzięcznością i wróciła do domu.

Akurat brała prysznic, gdy zadzwonił telefon. Pospiesznie owinęła się ręcznikiem i pobiegła odebrać. W słuchawce rozległ się głos Marca. Serce zabiło jej szybciej.

– Dzwonię, bo przyszło mi na myśl, że pewnie chciałybyś o tym wiedzieć. Zdjęliśmy odciski palców ze świecznika. Było ich wiele, w tym oczywiście twoje i właściciela lombardu. Ale udało nam się zidentyfikować jeszcze kogoś.

Teoretycznie powinna ucieszyć się z postępu w sprawie, tymczasem jednak poczuła ogromny żal. Sądziła, że chciał rozmawiać o nich...

– To wspaniale – powiedziała.

– Mówi ci coś nazwisko Gus Madison?

– Nie. Nigdy go nie słyszałam.

– Właściwie to dobrze. Mamy go w kartotekach, to kryminalista. Siedział za napad z bronią w ręku. Dzwoniłem do policji w San Francisco, gdzie ostatnio mieszkał, powiedzieli, że sprawdzą go jutro, bo dziś brakuje im ludzi, prawie wszystkich wysłali do pilnowania porządku na jakiejś wielkiej paradzie. Nie lubię takiego odwlekania, gość może się ulotnić. Sam pojedę przycisnąć go do muru, i to zaraz. Nie rób sobie jednak za dużych nadziei – ostrzegł. – To może być czysty przypadek. Na przykład ten cały Madison mógł zajrzeć do lombardu i tylko oglądać świeczniki. Albo był kiedyś w twoim muzeum i wziął je do ręki, licho wie. W każdym razie trzeba sprawdzić ten trop.

– Mam jechać z tobą?

– W żadnym wypadku! – zaprotestował kategorycznie. – To przestępca. Za nic nie wystawiłbym cię na takie niebezpieczeństwo. Odezwę się, jak tylko będę miał coś konkretnego.

– Naprawdę nie wiem, jak ci dziękować, Marc.

Zawahał się. Dałaby głowę, że chciał jeszcze coś powiedzieć, ale po chwili zrezygnował i po prostu się rozłączył.

Hallie nie znała się za bardzo na metodach pracy policji, nie miała jednak wątpliwości co do tego, że komendanci nie jeżdżą w teren, by osobiście przesłuchiwać podejrzanych. Została potraktowana w sposób szczególny. Zrobiło się jej przyjemnie. Marc co prawda nie poruszył w rozmowie tematów osobistych, lecz jego zachowanie wyraźnie wskazywało na to, że wciąż darzył ją specjalnymi względami. Nie zniechęcił się po ostatniej wizycie...

Naraz dotarło do niej coś, co nie miało nic wspólnego z nią i z Markiem. Jeśli

ów Madison nie zostawił odcisków palców na świecznikach przez przypadek, jeśli rzeczywiście okradł jej muzeum, to policja wpadła na trop współnika Trący! A jeśli jej kuzynka jest teraz u niego? Coś ich przecież łączyło, nawet jeśli Trący zarzekała się, że już nie są razem.

Złodziej był niebezpieczny, tak wynikało ze słów Marca. Mógł mieć broń. Myśl, że ukochana kuzynka może znajdować się w towarzystwie uzbrojonego kryminalisty, w jednej chwili pchnęła Hallie do działania. Bez zastanowienia wskoczyła w dżinsy, wciągnęła bluzkę, na nogi wsunęła tenisówki i popędziła do samochodu. Na szczęście posterunek znajdował się niedaleko. Przycyai się gdzieś z boku, a gdy Marc wyjedzie, uda się za nim. Nigdy w życiu nikogo nie śledziła, więc cała akcja miała mizerne szanse powodzenia, tym bardziej, że Hallie zamierzała przechytrzyć policjanta, który zapewne miał w małym palcu takie sztuczki. Musiała jednak spróbować. Trący potrzebowała jej pomocy, i to bardziej niż kiedykolwiek.

Dlatego zamierzała jechać za Markiem do Madisona, uratować Trący zarówno przed kryminalistą, jak i przed policją, a potem udusić kuzynkę gołymi rękami za to wszystko, na co ją naraziła...

Marc był w San Francisco po raz pierwszy i jazda po słynnych, wyjątkowo stromych ulicach tego miasta całkowicie pochłonęła jego uwagę. Prowadzenie auta w tym mieście wymagało od kierowcy szczególnych umiejętności. Dzielnica, której szukał, okazała się mocno podejrzana. Część kamienic była zrujnowana i niezamieszkana, pozostałe wyglądały dość podle. Wszędzie wały się śmieci. Marc nie miał gdzie zaparkować, pojechał więc dalej. Wreszcie znalazł jakieś wolne miejsce na parkingu. Wsiadł i wrócił pod dom, którego numer zauważył z samochodu. W bramie siedziało dwóch włóczęgów, pociągających coś z butelek w papierowych torbach. Na pewno nie była to woda mineralna.

Nie zwracając na nich uwagi, Marc wszedł do budynku.

Hallie zaparkowała w niedozwolonym miejscu, by móc pobiec za Markiem i nie stracić go z oczu. I tak parę razy omal go nie zgubiła, musiała w końcu posunąć się do łamania przepisów – przejeżdżania na czerwonym, nieprawidłowego wyprzedzania i skręcania. Ona, która nawet jako pieszy przestrzegała prawa i nigdy w życiu nie przeszła nie po pasach!

Marc znikł w jednej z kamienic. Gdy Hallie tam podeszła, natknęła się na dwóch zarośniętych i podpitych mężczyzn. Jeden z nich rzucił obleśną uwagę, obaj

zarechotali. Hallie zaczerwieniła się, usłyszawszy, co miałaby im zrobić.

Znalazła się w obskurnym holu. Śmierdziało tu śmietnikiem i uryną, od czego zrobiło się jej niedobrze. Czym prędzej zatkała nos. Marca nie było widać. Sprawdziła nazwiska na liście lokatorów. Żadnego Madisona nie znalazła. Z góry dobiegał odgłos kroków.

Widocznie ktoś wspinał się po schodach. To mógł być Marc, więc podążyła za nim najciszej, jak mogła. Umierała ze strachu na myśl, co się stanie, gdy jej obecność się wyda.

Budynek miał trzy piętra, ten ktoś wszedł na ostatnie. Hallie zatrzymała się kilka stopni poniżej końca schodów i skuliła się przy poręczy, by z góry nikt jej nie dostrzegł. Rozległo się gwałtowne stukanie do drzwi i usłyszała głos Marca:

– Madison, otwieraj, policja!

Cisza.

Znowu stukanie, tym razem głośniejsze i bardziej natarczywe.

– Otwierać, policja!

Cisza, a potem usłyszała dziwny, stłumiony jęk. Serce podskoczyło Hallie w piersi. Wyprostowała się ostrożnie i zerknęła na korytarz. Marc właśnie wyjmował pistolet z kabury. Odbezpieczył go i delikatnie poruszył klamką. Drzwi nie ustąpiły. Cofnął się kilka kroków, skoczył, uderzył w nie barkiem, wyważając je, i z impetem wpadł do środka.

Hallie bez chwili namysłu popędziła za nim.

Jej oczom ukazał się nieporządkny pokój z dużą szafą i niezasłanym łóżkiem. Na łóżku leżała Trący, zakneblowana czerwoną chustką do nosa, z rękami związanymi z tyłu. Koniec sznura przywiązano do jednego z prętów metalowego zagłówka.

Marc, wciąż nieświadomy obecności Hallie, sprawdził najpierw, czy nikt nie ukrywa się w szafie i w łazience, dopiero potem podszedł do drobnej szatynki i wyjął jej knebel z ust.

– Hallie! – wykrzyknęła dziewczyna.

Błyskawicznie odwrócił się w stronę otwartych na oścież drzwi. Na jego twarzy pojawiło się bezbrzeżne zdumienie, a potem gniew.

– Co ty tu robisz, do jasnej cholery?! – ryknął, opuszczając broń.

## Rozdział 8

Nie odpowiadając, przemknęła obok niego, rozwiązała skrepowaną kuzynkę, po czym chwyciła ją w ramiona.

– Nic ci nie jest?

– Nie! Och, Hallie, jaka ja byłam głupia! I obie wybuchnęły płaczem.

Marc schował pistolet do kabury, nie spuszczać wzroku z dwu młodych kobiet, które obejmowały się, łkając spazmatycznie. Dał im na to parę chwil, a potem zdecydowanie wkroczył do akcji.

– Co tu się dzieje? Hallie, odpowiadaj – zażądał surowo.

Podniosła ku niemu zalaną łzami twarz, na której malowały się jednocześnie ulga i poczucie winy.

– To moja kuzynka, Trący Fitzgerald. Marc spojrzał srogo na szczupłą szatynkę.

– Pani Fitzgerald, kto panią związał? Gus Madison?

– Tak.

– Gdzie on jest?

– Nie wiem – chlipnęła. – Uciekł.

– Dawno?

– Jakąś godzinę temu.

– Czy to on okradł muzeum?

– Tak. Ale to wszystko moja wina!

– Nonsens – wtrąciła pospiesznie Hallie. – Nie wygaduj głupstw.

– Ale przecież...

– Nic już nie mów. To jest nasz nowy komendant policji, Marc Walcott.

Zdumiał go jej ton. Powiedziała to tak, jakby próbowała tamtą przed nim ostrzec. Ale dlaczego? Przecież był po ich stronie!

– Komendant policji? – powtórzyła z przestrawieniem szatynka.

– Tak, i dlatego chcę wiedzieć, co tu się wydarzyło – warknął z irytacją. – Czemu Madison panią związał? Porwał panią i uwięził? – Naraz coś mu zaświtało.

– A może byliście państwo w zмовie, razem okradliście muzeum, a on postanowił umknąć z łupem?

– Nic nie mów, Trący – powtórzyła Hallie.

Marc aż tupnął.

– Co ty wyprawiasz, Hallie? Mamy świadka, dzięki któremu może złapiemy

złodzieja i odzyskamy twoje rzeczy, a ty każesz jej milczeć? Mówiłaś przecież, że to są bezcenne pamiątki.

Patrzył, jak Hallie przenosi wzrok na roztrzęsioną kuzynkę, a potem z powrotem na niego.

– Może wcale nie zostały skradzione – powiedziała z trudem. – Może zostały... pożyczone.

– Co?! – spytali jednocześnie Trący i Marc.

Marc ochłonął pierwszy.

– Ty ją próbujesz chronić – powiedział oskarżycielskim tonem.

– A ty próbujesz ją zastraszyć – odparła.

Czuł, jak błyskawicznie wzbiera w nim gniew. Walnął pięścią o ścianę.

– Do diabła, chcę ci pomóc!

Obie kobiety drgnęły gwałtownie i zbladły, autentycznie przestraszone jego wybuchem. Hallie pierwsza opanowała się, wstała i spojrzała mu w oczy tak mężnie, jak owego dnia, gdy się spotkali.

– Najlepiej mi pomożesz, jeśli pozwolisz mi zabrać Trący do domu. Musi dojść do siebie po tych strasznych przeżyciach.

Pomogła kuzynce wstać i obie skierowały się ku drzwiom.

– Ani kroku dalej! – zażądał ostro Marc, wyciągając z kieszeni kajdanki. – Trący Fitzgerald, jest pani aresztowana.

Odwróciły się w jego stronę, przerażone, jeszcze bledsze niż przedtem. Obie takim samym ruchem uniosły dłoń do ust.

– Marc, proszę, nie rób mi tego! – jęknęła Hallie.

– Przykro mi, ale nie mam wyboru.

Podszedł do nich zdecydowanym krokiem. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że Trący była współwinna kradzieży. Miała dostęp do klucza, umiała wyłączyć alarm, знаła godziny pracy Hallie, więc wiedziała, na którą wyznaczać telefony w sprawie pieniędzy...

– Marc, posłuchaj mnie. Nie traktuj jej jak przestępcy. Pozwól mi ją zabrać. Potrzebuje mojej opieki.

Jest najmłodsza z rodziny, zrozum...

Zrozumiał. Zrozumiał, że ustąpi, bo nie będzie mógł zranić Hallie. Wiedział, jak ważna jest dla niej rodzina. W dodatku teoretycznie istniała możliwość, że wina Trący nie jest aż tak duża. Madison mógł w jakiś sposób zmusić ją do współpracy – na przykład szantażem. To byłaby poważna okoliczność łagodząca.

– Dobra, zabieraj ją – warknął, wściekły na siebie jak diabli. – Ale niedługo

przyjadę, żeby z nią porozmawiać. Daj mi słowo, że będziecie obie w domu.

Żadnego wyprawiania podejrzanej nie wiadomo dokąd.

Trący niepewnie zerknęła na starszą kuzynkę.

– Nagiałem dla ciebie zasady, Hallie – przypomniał. – W zamian chcę mieć twoje słowo.

– Masz moje słowo. Będziemy obie w domu – obiecała i wyszły.

Marc zaklął cicho. Nie popisał się dzisiaj. Właśnie wypuścił z rąk potencjalnego sprawcę kradzieży, a przedtem nie zauważył, że jest śledzony. Hallie musiała jechać za nim przez całą drogę, on jednak niczego nie spostrzegł. Żeby niedoświadczona kobieta wyprowadziła w pole takiego starego wygę jak on! Wstyd!

Był zanadto rozkojarzony i wszystko dlatego. Od sobotniej nocy nie przestawał myśleć o Hallie i o tym, co mu powiedziała. Musiał jakoś uwolnić się od tego. Nigdy w życiu nie pozwolił, by sprawy prywatne wpłynęły na jakość jego pracy. Dopiero teraz...

Nie szukaj wykrętów, odezwał się w jego głowie surowy głos ojca. Nie kombinuj, tylko zrób, co masz do zrobienia. Jazda!

Marc wyprostował się odruchowo. Faktycznie, dosyć tego mazgajstwa. Trzeba wykonywać swoje obowiązki.

Skontaktował się z kapitanem Coe i wydał rozkazy. Sprawdzić, czy Gus Madison ma prawo jazdy i samochód. Sprawdzić numer rejestracyjny wozu. Jeśli nie ma własnego samochodu, przeczesać wypożyczalnie, ustalić typ i rejestrację wypożyczonego auta. Rozesłać za Madisonem listy gończe.

Panny Fitzgerald nie chciały współpracować z policją, lecz to nie oznaczało, że Marc i tak nie dopadnie złodzieja.

Gdy tylko wyjechały z San Francisco, Hallie obrzuciła kuzynkę zdesperowanym spojrzeniem. Miała ochotę spruć ją na kwaśne jabłko i jednocześnie ponownie wyściskać ze szczęścia, że nic jej się nie stało. Do tego wszystkiego wciąż nie mogła dojść do siebie po konfrontacji z Markiem. Nigdy nie widziała go tak wściekłego. Autentycznie umierała ze strachu, że on zmieni nagle zdanie, zakuje w kajdanki nie tylko Trący, ale i ją – za ochranianie przestępczyni i wprowadzanie w błąd organów ścigania – i zawiezie je obie na przesłuchanie.

Potem będzie musiała mu wszystko wyjaśnić, przeprosić go i sprawić, żeby zrozumiał. Najpierw jednak musiała zająć się kuzynką.

– A teraz opowiedz mi wreszcie wszystko – zażądała stanowczo.



Trący ponownie zaczęła chlipać. Trochę trwało, zanim Hallie zdołała zrekonstruować całą historię z jej nieskładnej wypowiedzi.

Zabranie rzeczy z muzeum było pomysłem Gusa, na który Trący zgodziła się bez oporów, bo przecież kradzież była tylko na niby. Szybko jednak okazało się, że tak naprawdę nie miała nic do powiedzenia, gdyż wspólnik ustalał wszystkie reguły. To on wymyślił odbieranie rozmów w budce telefonicznej i to o takiej godzinie, by Hallie ledwo tam zdążyła po pracy. Chciał przez to wprawić ją w większy popłoch i zdenerwowanie, dzięki czemu miała łatwiej ulec szantażowi. To nie spodobało się Trący, ale Gus w ogóle nie chciał jej słuchać. Dopiero wtedy zorientowała się, że sprawy przyjmują zły obrót.

Niedługo potem zauważyła zniknięcie świeczników. Zadzwoiła do Hallie i po rozmowie z nią starała się przekonać Gusa do zwrotu skradzionych rzeczy. Wyśmiał ją. Powiedział, że je sprzeda, bo wtedy dostanie za nie o wiele więcej niż te marne dwadzieścia pięć patyków. Wpadła w popłoch. Odmówiła dalszej współpracy, ale tym też się specjalnie nie przejął. Nie pozwolił jej zabrać skradzionych przedmiotów z powrotem do muzeum.

Tego ranka uciekła się do blefu. Powiedziała, że Hallie już wie, gdzie są jej rzeczy i przyjedzie po nie, w dodatku nie sama. Wtedy Gus ją związał, zakneblował i zaniknął w mieszkaniu, a sam umknął z łupem. Była przerażona. Nie miała pojęcia, kiedy ktoś ją tam znajdzie. Tymczasem nieoczekiwanie zjawiała się Hallie!

– Tak mi przykro! Ja naprawdę nie chciałam zrobić ci przykrości – zapewniała przez łzy. – Wynagrodzę ci to, obiecuję. To się już nigdy więcej nie powtórzy.

– Niech ja sobie przypomnę, ile razy słyszałam tę obietnicę...

– Wiem, ale tym razem będzie inaczej! Och, Hallie, wybaczysz mi kiedyś?

– Wybaczenie niewiele tu pomoże – powiedziała ze znużeniem w głosie Hallie.

– Modlę się, żebyśmy odzyskały wszystkie eksponaty z naszego muzeum, bo jak nie, to naprawdę nie wiem, co zrobię...

Trący rozplakała się na dobre.

– W dodatku musimy jakoś cię z tego wypłatać – ciągnęła Hallie. Będziemy potrzebowały prawnika.

– Jak to? Coś mi grozi?

– Jeszcze to do ciebie nie dotarło? Przecież właśnie dlatego kazałam ci siedzieć cicho przy Marcu. Wszystko, co byś powiedziała, mogłoby zostać wykorzystane przeciw tobie. Owszem, narozrabiałaś poważnie, ale za nic w świecie nie chciałam zobaczyć cię za kratkami.

Trący wydała zdławiony okrzyk i z przerażeniem spojrzała na kuzynkę.

– Hallie, naprawdę myślisz, że mogą mnie zamknąć do więzienia?

– Postaram się do tego nie dopuścić.

Marc stał przed salą sądową, skrzyżowawszy ramiona. Czekał. Ona niedługo się pojawi, a wtedy wreszcie się dowie, co on naprawdę myśli. Dosyc tego.

Od kilku dni, dokładnie od tamtej sceny w mieszkaniu Madisona, narastał w nim gniew. Nie pomogło nawet to, że dzięki listowi gończemu policja w Oakland zatrzymała przestępcę i że tego ranka Marc miał na posterunku i złodzieja, i skradzione rzeczy. Nie pomogło, ponieważ jego złość nie miała nic wspólnego z rabunkiem, lecz z postawą Hallie. Od samego początku zatajała przed nim kluczowe informacje, dzięki którym udałoby się rozwiązać tę sprawę znacznie szybciej. Osłaniała jednego ze sprawców kradzieży. Po wyjaśnieniu kwestii szantażu pozwoliła Marcowi wierzyć, że niczego już przed nim nie ukrywa.

Czuł się zdradzony. Dobrze, do niczego między nimi nie doszło, ale przecież stali się sobie bliscy, a komuś bliskiemu ufa się bez zastrzeżeń. Tymczasem ona zawiodła jego zaufanie.

Poświęcił wiele czasu na rozpracowanie tej kradzieży, chociaż powinien zajmować się tym ktoś niższy rangą. Udało mu się odnaleźć kuzynkę poszkodowanej, dopaść złodzieja i odzyskać przedmioty, nim uległy rozproszeniu, a za to wszystko spotkała go czarna niewdzięczność. Hallie unikała go, jak mogła, co gorsza, zdołała zniweczyć część jego wysiłków, ponieważ dzięki sprytowi jej prawniczki winni kradzieży wywijali się z całej sprawy. Marc będzie musiał zwolnić Madisona z aresztu. Na samą myśl o tym zaczynał zgrzytać zębami. Może ma go jeszcze przeprosić, co?

Niech ona wreszcie przyjdzie. Niech przyjdzie, a wtedy on jej wygarnie.

W tym momencie zza rogu korytarza wyłoniła się Hallie. Towarzyszyła jej kuzynka oraz szpakowata pani mecenas.

Takiej Hallie Marc jeszcze nie widział. Szła zdecydowanie, stukając obcasami. Miała na sobie ciemnozielony kostium i kremową bluzkę, wyglądała niezwykle profesjonalnie i poważnie.

Czy ta kobieta zawsze musiała go zaskakiwać?

Na widok zaciętej miny Marca Hallie miała ochotę odwrócić się i uciec, gdzie pieprz rośnie. To jednak nic by nie dało, ponieważ wcześniej czy później i tak musieliby się spotkać. Trudno, trzeba stawić czoło sytuacji.

– Zaraz przyjdę – powiedziała do kuzynki i prawniczki.

Poczekala, az weszly na sale sadowa i zamknely za soba drzwi, a potem z dusza na ramieniu zblizyly sie do Marca.

– Chcialam cie przeprosic. Jest mi naprawde bardzo przykro.

Oparl sie barkiem o marmurowa kolumne.

– Tak? – zapytal ironicznym tonem i na znak zdziwienia uniosl brew. – A za ktora z tych rzeczy, za ktore powinno ci byc przykro?

– Za wszystkie. Za to, ze cie nie posluchalam i pojechalam za toba do San Francisco...

– Niezle sie spisalas, musze przyznac. Nie zauwazylem cie.

– Bo spieszyles sie, zeby Madison nie zdazyl sie ulotnic. W dodatku nie spodziewales sie, ze ktos cie bedzie sledzil, zwlaszcza ja.

– To bez znaczenia – burknal z niechecia.

Musial czuc sie urazony w swojej męskiej dumie, wiec Hallie nie ciagnela juz tego tematu.

– Przepraszam tez za to, ze wykorzystalam nasza...

przyjazn i wymoglam na tobie puszczenie Tracy wolno. Musialam to zrobic, musialam ochronic ja przed aresztowaniem, mimo to mam wyrzuty sumienia wobec ciebie.

Przygladal sie jej bez slowa, jakby zastanawiajac sie, czy znowu czegoś przed nim nie ukrywa, czy go nie oklamuje. Nie mogla go za to winic. Nie zasluzyla sobie na lepsze traktowanie.

Wyprostowal sie nagle i gwałtownym gestem wskazal drzwi sali sadowej.

– Za to tez mnie przepraszasz? – wybuchnel. Mimowolnie cofnela sie o krok.

– Nie rozumiem.

– Czego nie rozumiesz? Wszystko zostanie zalatwione polubownie, ta twoja adwokat jest kuta na cztery nogi. Wyciagnela wszystkie mozliwe okolicznosci lagodzace. Oparla linie obrony na fakcie, ze Tracy jest wspolwlaszcielka muzeum, wiec zabrala wlasne rzeczy. To mial byc tylko zart. Twoja kuzynka jest niekarana, co tez przemawia na jej korzysc. Prokurator okregowy wycofa zarzuty.

Hallie zamknela oczy i odetchnela z ulga.

– Dzieki Bogu!

– Ciekawe, czy podziekujesz mu tez za to, ze uniewinnila Madisona.

Otworzyla oczy.

– Jak to?!

– Zwyczajnie. Nic nie moga mu zrobic. Albo oboje sa winni, albo zadne.

– Tego nie przewidziałam... – jęknęła.

Rozejrzała się, spostrzegła nieopodal kamienną ławkę, podeszła do niej i usiadła, zwieszając głowę. Marc, który jeszcze dziesięć minut wcześniej kipiał ze złości, spojrział na nią ze zrozumieniem. Szczere przeprosiny Hallie w dużej mierze ugasiły jego gniew. Owszem, tkwiła w nim jeszcze pewna uraza, lecz nie zamierzał już robić jej wyrzutów.

Wsunął ręce w kieszenie, podszedł do Hallie i stanął przed nią. Uniosła głowę i spojrziała na niego.

– Chętnie ujrzałabym tego Madisona za kratkami – wyznała.

– Ale nie Trący.

– Dobrze, tu mnie masz. Wyszłam na osobę stronnicy. Obcego niech wsadzą, ale członka rodziny nie.

– Westchnęła ciężko. – Z drugiej strony, czy można ich porównywać? Przecież jest ogromna różnica między naiwną i nieodpowiedzialną nastolatką a kryminalistą, który ją związał, a sam uciekł ze skradzionymi rzeczami.

– Ale muzeum obrabowali razem, a kradzież pozostaje kradzieżą – oznajmił twardo Marc.

– Wiem. – Hallie bezradnie rozłożyła ręce. – No więc co mam zrobić? Zostawić ją bez opieki? Nie walczyć o nią? A gdyby coś podobnego przydarzyło się komuś tobie bliskiemu? Czy nie stanąłbyś na głowie, żeby uchronić przed więzieniem kogoś, kogo kochasz?

Marc zastanowił się, po czym usiadł obok Hallie, oparł łokcie na kolanach i splótł dłonie. Resztki jego gniewu wyparowały bez śladu.

– Masz rację, za wszelką cenę chciałbym tę osobę uchronić przed więzieniem. To paskudne miejsce. – Potrząsnął głową. – Nie mogę jednak pogodzić się z tym, że temu draniowi ujdzie wszystko na sucho. A przecież Trący mogła zeznawać przeciwko niemu. Prokurator namawiał ją do tego, ale ona nie chciała.

– Bo ma straszne wyrzuty sumienia. Obwinia głównie siebie i mówi, że nie będzie wrabiać Gusa. Nie próbowałam na nią wpłynąć, bo może taki samokrytycyzm dobrze jej robi.

Siedzieli przez chwilę w zgodnym milczeniu, wreszcie Hallie podniosła się z ociąganiem.

– Muszę iść. Dzięki, że mnie uprzedziłeś, czego mam się spodziewać na rozprawie.

– Nie ma sprawy. – Marc wstał również. – Ponieważ eksponaty z muzeum nie będą już potrzebne jako dowody rzeczowe, odeślę ci je jutro rano.

Słyszając to, rozpromieniła się w ułamku sekundy, jej oczy zaśmiały. Znow miał przed sobą dawną Hallie, która tak bardzo mu się podobała. Lekko dotknęła jego ramienia.

– Marc, nie masz pojęcia, jak bardzo jestem ci wdzięczna. Czy wybaczysz mi to wszystko, co się stało? Za nic bym nie chciała, żebyś żywił do mnie żal.

Posłał jej uspokajający uśmiech.

– Nie ma sprawy – powtórzył. – Każde z nas zrobiło to, co uważało za słuszne.

Podszedł do drzwi sali sądowej i położył dłoń na klamce. Hallie nadal stała w tym samym miejscu, pragnąc powiedzieć coś jeszcze, lecz nie znajdowała stosownych słów.

Była pełna podziwu dla niego. Potraktował ją znacznie lepiej, niż na to zasługiwała. Nie robił jej wyrzutów. Przyjął przeprosiny. Ba, nawet przyznał, że w podobnej sytuacji zapewne postąpiłby tak samo. Nie czuł do niej urazy. A teraz jeszcze czekał, by szarmancko otworzyć jej drzwi.

Doprawdy nigdy w życiu nie spotkała takiego mężczyzny.

Och, gdyby mogła mieć go obok siebie na zawsze – wieczorem w łóżku, rano przy stole w kuchni...

Stało się. Zakochała się na amen.

## Rozdział 9

Hallie usłyszała za oknem natarczywy dźwięk klaksonu, wyrzała na zewnątrz, a już sekundę później sfrunęła po schodach. Przed domem zaparkowała policyjna furgonetka, a dwóch młodych funkcjonariuszy właśnie wynosiło z niej olejny obraz. Na chodniku stał Marc.

– Przywieźliśmy ci... – zaczął, lecz Hallie nie słuchała go.

– Juhu! – krzyknęła, mijając go pędem.

Podskoczyła wysoko, wyrzucając pięść w niebo triumfalnym gestem, a potem zamarła z nabożnie splecionymi dłońmi i tylko oczy jej pały, gdy spoglądała na karton ze starymi książkami, pudło pełne lalek w bogato haftowanych sukniach, stare szable w zdobionych szlachetnymi kamieniami pochwach, cenne drewniane figury Jezusa i Maryi, zwinięty w rulon gobelin z jednorożcem...

– Przynajmniej wszystko odzyskaliśmy – odezwał się za jej plecami Marc. W jego głosie pobrzmiwała ponura satysfakcja.

Odwróciła się. Kiedy ujrzał jej pełne łez oczy, zaniepokoił się.

– Hallie, proszę, nie płacz...

Roześmiała się przez łzy.

– Kiedy ja płacząc ze szczęścia! Czekaj, otworzę drzwi.

Pobiegła po klucz, wróciła przed dom i zaprowadziła policjantów do muzeum przez boczną furtkę i dziedziniec. Wyłączyła alarm i wskazała miejsce na parterze, gdzie mogli zostawić rzeczy. Funkcjonariusze zaoferowali się, że cięższe mogą od razu zanieść na miejsce, by nie miała potem kłopotu.

Gdy tamci troje stopniowo przenosili eksponaty do muzeum, Marc czuwał przy otwartej furgonetce i odhaczał kolejne przedmioty na liście, którą sporządzono po kradzieży.

– Gdzie twoja kuzynka? – zagadnął za którymś razem, kiedy Hallie i jego dwaj ludzie przyszli po rzeźbiony drewniany parawan.

– Na górze, leży w łóżku, przeziębila się, i to dość mocno.

– W takim razie przekaż jej ode mnie życzenia powrotu do zdrowia.

Ależ on ma klasę, pomyślała z podziwem. Nie miał dobrego zdania o Trący, której poroniony pomysł przysporzył policji tyle pracy, lecz nie przeszkadzało mu to zachowywać się wobec niej uprzejmie.

Marc odhaczył na liście parawan. No, to już wszystko. Naraz zmarszczył brwi. Jedna pozycja pozostawała niezaznaczona. Zamknął pustą furgonetkę i poszedł do

muzeum. Tamci troje właśnie schodzili ze schodów. Marc z troską podniósł wzrok na Hallie. Promieniała szczęściem, tymczasem on musiał powiedzieć jej coś, co ją głęboko zasmuci. Niestety, nie miał wyboru.

– Obawiam się, że brakuje twojego albumu.

Hallie zbladła, zacisnęła dłoń na poręczy.

– Nie, tylko nie to... – wyszeptała z trudem. Wyglądała tak, jakby miała zemdleć.

Marc zaklął cicho i zwrócił się do jednego z policjantów:

– Jesteście pewni, że nic więcej nie było? Może przeoczyliście coś?

– Nie, panie komendancie. Przywieźliśmy absolutnie wszystko.

– Myślałam, że album jest w którymś z pudeł, pod książkami albo pod lalkami...

– Nie, proszę pani, w furgonetce Madisona nie było żadnego albumu – odezwał się drugi z policjantów, patrząc ze współczuciem na przybitą Hallie.

– Muszę sprawdzić. – Dziewczyna zbiegła na dół, pośpiesznie przerzuciła zawartość kartonów, a potem wyprostowała się powoli. – Nie ma – powiedziała martwym głosem.

– Znajdziemy go – zapewnił Marc, który nie mógł patrzeć na jej rozpacz.

Spojrzała na niego, a w jej oczach zamigotała nadzieja.

– Naprawdę?

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby go odzyskać.

Chciał jej jeszcze powiedzieć, że zbyt długo musiała borykać się samotnie z problemami, ale teraz to już przeszłość, bo on jej pomoże, weźmie część odpowiedzialności na siebie, więc nie potrzebuje martwić się więcej. Poczuł się niczym rycerz, który ratuje damę z opresji, i to nie była jakąś damą, lecz bardzo specjalną, wybraną, jedyną.

Co też chodziło mu po głowie? Po pierwsze, żyli w dwudziestym pierwszym wieku, po drugie, Hallie nie była damą jego serca, to już zdołali ustalić. Nie ma więc sensu zachowywać się jak jakiś Don Kichot.

– Nie rozumiem tylko, czemu nie trzymał albumu z resztą rzeczy... – zauważyła smutno Hallie.

Marc miał pewne podejrzenia, lecz zachował je dla siebie, by jej dodatkowo nie zasmucać. Trący mogła nieopatrznie zdradzić Gusowi, jak ważny i cenny jest ten album dla Hallie, więc złodziej schował go, by dalej ją szantażować lub złośliwie go zniszczył dla samej przyjemności wyrządzenia komuś krzywdy.

– Nie traćmy nadziei. – Ujął jej dłoń i uściśnął, dodając otuchy. – Przesłucham

Madisona i wyduszę z niego informację, co się stało z albumem. Musiałem go wczoraj zwolnić, ale przecież wiem, gdzie mieszka.

Hallie spojrzała na niego z niezachwianą ufnością i wiarą w jego możliwości.

– W takim razie nie mam się o co martwić stwierdziła, wyraźnie wzruszona.

No i jak miał się nie czuć jak rycerz? Jak miał nie chronić swojej Hallie przed złem i brutalnością świata?

Idiota z niego! Nie może przecież myśleć o niej w taki sposób, jakby była jego kobietą. Ustalili już jasno, czego ona potrzebuje, a czego on nie może jej dać. Ona będzie należeć tylko do kogoś, kto osiedli się w Promise, zapanuje tu korzenie, założy z nią rodzinę. Tymczasem Marc za kilka miesięcy wyjeżdża stąd na zawsze, a co więcej – chce stąd wyjechać.

A jednak jego wyobraźnia nie przestawała pracować... Gdyby sprawy ułożyły się inaczej, gdyby mogły ułożyć się inaczej...

Przestań kombinować, tylko bierz się do roboty, jak zwykle rozległ się w jego głowie surowy głos ojca. Marc wyprężył się odruchowo i natychmiast zaczął działać.

– Dziękuję. Wracajcie na posterunek – zwrócił się do swoich ludzi.

– Pan komendant nie jedzie z nami?

– Nie, wrócę później – zdecydował nagle, zaskakując samego siebie. Jeszcze przed chwilą nie planował, że zostanie.

Gdy policjanci wyszli z muzeum, nie bardzo wiedział, co ze sobą począć. Właściwie nie miał tu nic do roboty. By czymś się zająć, podszedł do pudeł i zaczął oglądać kolejne przedmioty.

– Ktoś będzie musiał pomóc ci poustawiać to wszystko na miejscu – zauważył.

– Żaden problem, przecież mam Trący.

– Mówiłaś, że jest chora. Hallie wzruszyła ramionami.

– No to zrobię to sama.

Otworzyła nieduże drzwi, które prowadziły do pomieszczenia pod schodami, weszła do środka, a parę chwil później wróciła z plastikowym kubelkiem pełnym środków czyszczących. Marc zdecydowanie wyjął jej kubek z ręki.

– Po co sama? Możemy zrobić to razem.

– Och, nie, nie mogłabym cię prosić o taką przysługę.

– Nie prosisz. Sam chcę.

– A nie musisz wracać do pracy? Mrugnął do niej porozumiewawczo.

– Jestem szefem, nie pamiętasz? Coś już ci kiedyś – na ten temat wspominałem. Szef przychodzi, kiedy chce. A mówiąc poważnie, jestem pod telefonem



dwadzieścia cztery godziny na dobę, moi ludzie mogą mnie ściągnąć na posterunek, gdy tylko zajdzie taka potrzeba. Na razie jej nie ma, więc mogę popracować tutaj. Powiedz tylko, co mam zrobić.

Przez następną godzinę wspólnie doprowadzali muzeum do porządku – Hallie czyściła odzyskane eksponaty, Marc wieszał na ścianach obrazy, umieszczał kolejne rzeczy w gablotach. Słyszał, jak Hallie czasem mruczy coś cicho pod nosem, zdawała się zwracać do przedmiotów jak do przyjaciół. Trochę zaczynał jej zazdrościć tak długiej tradycji rodzinnej, tych wszystkich pamiątek i korzeni. On był wiecznym nomadą i chciał nim pozostać. A jednak.... A jednak po raz pierwszy taki styl życia trochę mu ciążył.

Tymczasem Hallie czuła, że jest jej coraz lżej na duszy. Odzyskała i kuzynkę, i utracone rzeczy, zaginiony album też zapewne niedługo się odnajdzie, a ukochany i upragniony mężczyzna pracował u jej boku w ukochanym muzeum, troszcząc się o nią tak, jak już od dawna nikt się o nią nie troszczył. Cóż więc dziwnego, że nieustannie odczuwała pokusę, by zatonać w jego silnych objęciach? Nie, nie mogła sobie na to pozwolić. By wytrwać w swoim postanowieniu, co chwilę przywoływała na myśl dzielną stryjeczną prapraprababkę Hortensję Palmer, która nigdy nie potrzebowała męskiego oparcia, ponieważ świetnie radziła sobie sama.

Chciałabym być taka jak ty, pomyślała. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że swoim zwyczajem zaczęła myśleć na głos.

– Jak ja? – odezwał się Marc tuż za jej plecami.

Odwróciła się gwałtownie i wpadła na niego.

– Och, przepra... – zaczęła i nagle głos uwiązł jej w gardle na widok jego spojrzenia.

W jego oczach płonęło pożądanie. Nie zastanawiając się dłużej, wspięła się na palce i zarzuciła mu ręce na szyję.

Nie zwlekając ani chwili, pocałował ją żarliwie.

Hallie tylko na to czekała. Już po chwili całowali się półprzytomnie, zdyszani, roznamiętnieni, niepomni na nic. Tulili się do siebie chciwie, jakby pragnęli stopić się w jedną całość. Hallie czuła przez ubranie, jak bardzo jej pragnął i już samo to wprawiało ją w stan ekstazy. Ona też tego chciała, bardzo, bardzo... Naparła biodrami na jego lędźwie, by poczuć go mocniej. Marc jęknął gardłowo.

– Hallie?

Czyjeś wołanie docierało do niej jak zza ściany. Nie zwróciła na nie uwagi.

– Hallie, jesteś na górze? – zawołała po raz kolejny Trący.

Zamarli. Hallie z ociąganiem przerwała pocałunek, lecz nie odsuwała się od

Marca.

– Tak! – odkrzyknęła. – O co chodzi?

– Nie mogę znaleźć aspiryny.

– Jest w szafce z lekami.

– Patrzyłam, nie ma.

Hallie z żalem oderwała się od Marca, który miał równie niepokieszoną minę jak ona. Poglądziła go po rozpalonym policzku, uśmiechnęła się przeprasząco i podeszła do schodów. Na dole stała Trący z czerwonym nosem, załzawionymi oczami i chusteczką higieniczną w dłoni. W sięgającym do pięt grubym szlafroku i wielkich kolorowych bamboszach wyglądała na dwanaście lat.

Spłoszyła się na widok komendanta policji, lecz gdy przyjrzała się uważniej twarzom obojga, zorientowała się, w czym rzecz.

– Ojej, przeszkodziłam? Przepraszam bardzo, nie wiedziałam...

– Marc, to jest, pan komendant Walcott, pomaga mi w ustawianiu eksponatów – wyjaśniła Hallie, schodząc na parter.

– Przecież ja miałam to zrobić!

– Ty zrobisz najlepiej, jak położysz się z powrotem do łóżka – pouczył dziewczynę ojcowskim tonem Marc. – Również dla dobra Hallie. Chcesz, żeby zaraziła się od ciebie?

– Nie. Ale muszę wziąć aspirynę. – Trący demonstracyjnie wydmuchała nos w chusteczkę.

– No, to chodźmy jej poszukać – powiedziała wesoło Hallie, obejmując kuzynkę i prowadząc ją do drzwi. W progu obejrzała się na Marca. – Dasz się zaprosić na herbatę?

Powinien już wracać do pracy, lecz trudno mu było rozstać się z Hallie po takim pocałunku... Potrzebował trochę czasu, by ochłonąć. Skinął głową.

– Chętnie.

Poszedł za nimi do kuchni, usiadł za stołem i bez słowa wodził rozmarzonym wzrokiem za gospodynią, która nastawiła wodę, wyjęła kubki, a potem otworzyła zawieszoną na ścianie niedużą szafkę i zaczęła w niej czegoś szukać.

– Musi tu być, zawsze mam zapas... O, jest – odezwała się, wyjmując opakowanie aspiryny. – I weź jeszcze witaminę C.

Położyła lekarstwa na stole i zwróciła się do Marca:

– Pijesz mocną czy słabą?

– W ogóle nie pijam herbaty – przyznał się. – Jakiś napar z liści... Mnie to się kojarzy z ziółkami na żołądek.

Roześmiała się.

– Miliony ludzi na całym świecie lubi herbatę, więc chyba jednak nie jest aż taka zła. Może daj jej szansę?

– spytała żartobliwie.

Zaśmiał się również. W tej przytulnej, domowej kuchni czuł się tak dobrze, że gotów był wyjątkowo odstąpić od swoich zwyczajów.

– Dobrze, dam.

Gdy Hallie zaparzyła herbatę, Trący wzięła swój kubek oraz lekarstwa i skierowała się w stronę drzwi, szurając kapciami i pociągając nosem.

– Wracam do łóżka, nie chcę dłużej przeszkadzać. Nie będę już schodzić na dół, więc możecie dalej robić to, co robiliście. Albo to, co zamierzaliście zrobić – poprawiła. – Albo...

– W porządku, rozumiemy już, co chcesz nam powiedzieć – zapewniła Hallie. – Idź na górę. Później przyniosę ci rosół.

W progu kuchni Trący odwróciła się nagle i z taką powagą spojrzała na Marca, że mimo czerwonego nosa i kolorowych bamboszy nie wyglądała już dziecinnie.

– Komendancie Walcott...

– Słucham?

– Chciałam podziękować za wszystko, co pan dla nas zrobił. I dla Hallie, i dla mnie, i dla naszego muzeum. I przeprosić. Wiem, że przez moją głupotę sprawiłam wszystkim kłopot. I to duży. Naprawdę nie chciałam. Ja się zmienię. Tym razem już na pewno. Jeszcze raz przepraszam.

Ujęła go swoją otwartością i szczerością. Wyglądało na to, że ta dziewczyna rzeczywiście miała wreszcie szansę dorosnąć.

– Przeprosiny przyjęte... – odparł.

– Dziękuję!

– Jest jednak jeszcze jedno...

– Tak?

– Co się stało z albumem? Nie było go wśród odzyskanych rzeczy.

– Z jakim albumem? – Trący przeniosła pytający wzrok na Hallie, która z kubkiem w dłoni stała oparta o zlew.

– Jak to jakim? Tym naszym rodzinnym, z różnymi pamiątkami.

– Ja go nie brałam.

– Co takiego?

– Nie wpisałam go na listę, którą dałam Gusowi.

– A jednak zginął w czasie kradzieży. Trący aż jęknęła.

– O, nie! Hallie, tak mi przykro!

– Bądźmy dobrej myśli – powiedziała Hallie. – Marc zamierza go odzyskać.

– Tak, dlatego wszystkie informacje na ten temat są dla mnie niezwykle cenne – odezwał się rzeczowym tonem Marc. – Nie wpisałaś albumu na listę. A czy widziałaś go u Gusa?

– Nie. Ja w ogóle nie miałam dostępu do tych rzeczy, cały czas trzymał je zamknięte w furgonetce. I nie – miałam pojęcia, że zabrał coś więcej. Nic mi nie powiedział! – lamentowała.

– Dobrze, idź do łóżka i odpocznij – powiedziała uspokajająco Hallie. – I nie zapomnij wziąć lekarstwa.

Odprowadziła kuzynkę pełnym czułości wzrokiem, po czym spojrzała na Marca.

– No i jak herbata? – zagadnęła.

– W porządku. Nadal jednak nie rozumiem, czemu ludzie lubią coś, co nie ma smaku.

– Niektórzy dodają cytrynę i cukier. Można też dolać mleka. Mleka akurat nie mam, ale cytryną i cukrem chętnie służę.

– Za cytrynę dziękuję, nie jestem chory. Poproszę o sam cukier.

Hallie sięgnęła po cukiernicę, postawiła ją na stole, podała Marcowi łyżeczkę, cały czas myśląc jednak o czymś innym – o tym, co musi zrobić w następnej kolejności. Nie przyjdzie jej to łatwo, jednak intuicja mówiła jej, że to konieczne. Hallie jeszcze nigdy nie zawiodła się na swojej intuicji, więc zamierzała jej posłuchać i tym razem.

Usiadła obok Marca, a wtedy on ujął jej rękę i uścisnął.

– Jak się czujesz? Bardzo się martwisz tym rodzinnym albumem?

Zastanowiła się głęboko.

– Wiesz, to może wydawać się dziwne, ale... Ale teraz już nie jest to dla mnie sprawa życia i śmierci.

Myślałam, że serce mi pęknie, jak go nie odzyskamy, lecz teraz wcale nie czuję się zrozpaczona. Nie zrozum mnie źle, nadal bardzo mi na nim zależy. Na szczęście jednak oglądałam go tyle razy, że mam w głowie najdrobniejsze szczegóły. A pamięci żaden złodziej mi nie odbierze.

– Cieszę się, że tak myślisz.

Marc napił się herbaty, jednak nadal nie puszczał jej ręki. Hallie patrzyła na ich splecione dłonie – w porównaniu z jego ciemną i silną ręką jej własna wydawała się zaskakująco jasna i krucha. Teraz. Trzeba to zrobić teraz. Podniosła na niego

wzrok.

– Kocham cię.

Oczy Marca rozszerzyły się. Gwałtownie opuścił rękę z kubkiem, który głośno stuknął o stół. Potem zapadła cisza.

Hallie czekała na to, co on powie. Jej serce biło jak szalone, w skroniach pulsowała krew. Marc patrzył na nią bez słowa.

I patrzył.

I patrzył.

– O rany – odezwał się w końcu.

– To znaczy, nie musisz na to nic odpowiadać, jeśli nie chcesz – zapewniła mężnie, choć tak naprawdę w środku cała się trzęsła.

– Chcę. Chcę, tylko nie wiem, co... – Potrząsnął głową i zamyślił się. – Ja nie bardzo wiem, co to jest miłość, Hallie. Na pewno jesteś dla mnie bardzo ważna.

– To dużo.

– Ale to przecież i tak absolutnie niczego nie zmienia, prawda?

– Nie jestem pewna...

– Nie? Przecież byłaś.

Hallie zebrała się na odwagę.

– Ale już nie jestem. Dochodzę do wniosku, że twoja propozycja krótkiego romansu... jest do rozważenia.

Ponownie udało się jej nim wstrząsnąć.

– Poważnie? – spytał bez tchu.

– Tak. Widzisz... – Poczula nagle, że się rumieni i to bardzo mocno, lecz mimo to brnęła dalej: – Zobacz, co praktycznie przed chwilą działo się w muzeum. Wyłaziliśmy ze skóry, żeby siebie mieć... Marc, jeśli to się nie stanie, nigdy nie przestanę tego żałować. Przez całe życie będę zadawać sobie pytanie, jak by to było. Zrozum, nie mam zbyt dużego doświadczenia w tych sprawach. Owszem, seks jest naprawdę przyjemny, nie przeczę, ale nigdy nie potrafiłam zrozumieć, czemu ludzie robią wokół tego tyle szumu. Jednak kiedy całuję się z tobą, chyba powoli zaczynam rozumieć... – uśmiechnęła się leciutko. – Szkoda byłoby nie dowiedzieć się do końca.

Marc po prostu ścięło z nóg. Jeszcze nigdy nie spotkał u nikogo takiej odwagi – a co dopiero u kobiety! I to tak kruchej i delikatnej.

– O rany – powtórzył.

– Zastanawiałam się nad tym, co mi wtedy powiedziałeś. O tym, że trzeba umieć korzystać i być wdzięcznym. I o tym, żeby nie uzależniać swojego szczęścia

od tego, czy dostaniemy dokładnie to, czego byśmy chcieli. Miałaś rację. Chyba za dużo oczekiwałam. Może na dom i dzieci przyjdzie mi jeszcze poczekać, może będę mieć kilku mężczyzn, zanim to się stanie, a nie, jak chciałam, jednego. – Bezradnie wzruszyła ramionami. – Kto to może wiedzieć?

Na wzmiankę o kilku mężczyznach Marc zeszywniał. O, nie! Hallie należała tylko do niego. Nie było mowy o tym, by ktokolwiek jeszcze miał ją kiedykolwiek tknąć.

Odetchnął głęboko.

– Zaskakujesz mnie – przyznał.

– To dobrze czy źle? Zaśmiał się trochę niepewnie.

– Nie mam pojęcia. I nie mam też pojęcia, co powiedzieć.

– Marc... Czy ty mnie w ogóle chcesz? – spytała cicho, po czym z zawstydzeniem zagryzła wargę.

Patrzył na jej zarumienioną twarz, kompletnie wytrącony z równowagi.

– Jak możesz w ogóle pytać? Nie czułaś?!

Nie musiała odpowiadać na to pytanie, jej mina mówiła sama za siebie. Na ustach pojawił się figlarny uśmiech, oczy zalśniły światłem. Jednak chwilę później Hallie spoważniała.

– W takim razie następny krok należy do ciebie.

Co zrobisz?

Podniosła się i podeszła do zlewu, by umyć swój kubek, a w rzeczywistości po to, by taktownie dać Marcowi czas do namysłu, gdyby go potrzebował.

Patrzył na jej szczupłe plecy, na jasnorude włosy rozświetlone promieniami porannego słońca, które wpadało przez kuchenne okno. Po tym, co mu właśnie powiedziała, wystarczyło jedynie wstać i wyciągnąć po nią rękę...

Nawet o tym nie myśl, odezwał się głos w jego głowie. Za parę miesięcy wyjedziesz stąd na zawsze. W porządku, teraz jest dzielna i zapewnia, że nic jej nie będzie, ale skoro cię kocha, to twój wyjazd złamie jej serce. Potrafisz ją tak skrzywdzić? Dobrze wiesz, że nie.

– Hallie?

Odwróciła się. Na jej twarzy malowało się napięcie i radosne oczekiwanie.

– Nawet nie wiem, jak ci dziękować, ale nie mogę przyjąć twojej propozycji.

## Rozdział 10

Hallie patrzyła na niego w milczeniu, niezdolna do wyduszenia z siebie nawet jednego słowa. Wyznanie uczuć i zadeklarowanie, że chce mieć z nim romans, kosztowało ją ogromnie dużo odwagi i samozaparcia, ale nawet przez moment nie sądziła, że cały jej wysiłek może pójść na marne. Przecież nie proponowała nic nowego, tylko zgadzała się na to, co on sam jej mówił zaledwie tydzień wcześniej.

Odtrącał ją. Nie wierzyła własnym uszom.

– Co? – wydusiła z siebie w końcu.

– Hallie, ja naprawdę bardzo żałuję, nie domyślasz się nawet jak bardzo... Ale nie mogę tego zrobić, to byłoby nie w porządku. Za kilka miesięcy wyjeżdżam. I tak będzie mi ciężko pożegnać się z tobą. Jeśli teraz zaczniemy... zaczniemy być razem, to rozstanie będzie jeszcze trudniejsze.

Miała na końcu języka: No to nie wyjeżdżaj! Zostań! Zostań ze mną!

Nic jednak nie powiedziała. Nie zamierzała go błagać. Nie poniży się aż do tego stopnia. I tak wystarczająco się skompromitowała.

Ciężko oparła się o kredens.

– Ja to mam szczęście – skomentowała w końcu z goryczą. – Naprawdę nie miałam już komu złożyć takiej niedwuznaczonej propozycji, tylko komuś, kto za wszelką cenę chce być rycerski. – Schowała twarz w dłoniach.

Marc wstał z krzesła i podszedł do niej.

– Hallie, nie płacz... – poprosił bezradnie.

– Nie płaczę. Po prostu czuję się kompletnie wykończona. Jeszcze nigdy tak się nie odsłoniłam... To gorzej niż gdybym się rozebrała do naga na środku rynku.

Położył dłoń na jej ramieniu.

– Byłaś bardzo dzielna.

– I co mi z tego przyszło? Znowu dowiedziałam się, że ktoś mnie nie chce. I tak już chyba będzie zawsze. Widać coś jest ze mną nie tak.

Zacisnęła dłoń na jej barku.

– Nawet tak nie myśl – zażądał. – Jesteś wyjątkowa. Nigdy dotąd nie spotkałem równie wspaniałej kobiety.

Ale i tak mnie nie kochasz, pomyślała, zaciskając usta, by nie wypowiedzieć tego na głos. Nie będzie się żalić. Nie chce niczyjej litości.

– To ze mną jest problem – ciągnął Marc. – To ja nie umiem ani kogoś kochać, ani być z kimś. Nie mam pojęcia, jak to się robi. Nawet nie wiedziałbym, od czego

zacząć. U nas w domu panowała żelazna dyscyplina. Ojciec wydawał rozkazy, a matka nie odzywała się. Czy to normalna rodzina? Potem poszedłem do wojska. Znow słyszałem tylko rozkazy. Jestem jak kaleka, zrozum. A więc nie ma tu twojej winy, tylko moja.

Hallie oswobodziła się z jego uścisku i odsunęła na pewną odległość.

– To bez sensu. Nie ma już nic do powiedzenia.

– Ale...

– Idź już, proszę – przerwała mu ze znużeniem w głosie. – Jestem naprawdę bardzo zmęczona.

Marc patrzył na nią przez chwilę i widać było, że zastanawia się, czy jednak czegoś nie dodać. Potem jednak skinął głową, odwrócił się i wyszedł.

– A co to jest? Nie zamawiałem omleta, tylko zupę mleczną! – zaprotestował z irytacją korpulentny jegomość, oskarżycielsko celując palcem w talerz, który postawiła przed nim Hallie.

– Najmocniej przepraszam, zaraz panu przyniosę.

– Zabrała talerz i zawróciła do kuchni.

Po drodze mijala stolik z parą gości. Zaczepili ją.

– Proszę pani, co z moim omлетem? Zamówilem go już dawno! – denerwował się mężczyzna.

– A ja nie mogę doczekać się na tosty – zawtórowała mu jego towarzyszka.

– Bardzo państwa przepraszam. Proszę, tu jest pański omlet. Tosty będą za chwilę – obiecała z wymuszonym uśmiechem Hallie, choć w rzeczywistości chciało się jej płakać.

W kuchni dopadła jedną z kelnerek.

– Margie, błagam, zanieś zupę mleczną na siódmkę i tosty na dziesiątkę. Ja zaraz wrócę.

Wymknęła się na placyk za barem, schowała w załomie muru koło kontenerów na śmieci i dopiero tam pozwoliła sobie na łzy. Od kilku dni nie mogła się pozbierać. Od tamtej pamiętnej rozmowy z Markiem zupełnie nie dawała sobie rady. Chwilami nawet odechciewało się jej żyć.

– Hallie, co się dzieje? – odezwał się za jej plecami zaniepokojony głos kuzynki.

Trący zaczęła pracować w „Javie”, również na poranną zmianę, ponieważ chciała udowodnić Hallie, że naprawdę się zmieniła, że teraz traktuje życie poważnie i odtąd będzie zarabiać na swoje utrzymanie.

– Nic – mruknęła Hallie, nie odwracając się, by nie pokazywać zapłakanej



twarzy. – Wracaj do środka, zanim Meg zauważy, że wyszłaś.

– Sama mnie tu do ciebie wysłała! Obie bardzo się o ciebie martwimy. O co chodzi? Czy to przez Marca?

Na sam dźwięk jego imienia Hallie nie wytrzymała i rozsłochała się na głos. Kuzynka opiekuńczo otoczyła ją ramionami.

– Już dobrze, już dobrze... Jestem przy tobie.

Co za ironia losu, pomyślała Hallie. Zawsze to ja byłam tą, która pociesza. Teraz role się odwróciły. Kto by przypuszczał, że do tego dojdzie?

– Dzięki – szepnęła po jakimś czasie, opanowując się nieco. – Właśnie tego było mi trzeba.

Trący przyglądała się Hallie ze zmarszczonymi brwiami.

– A nie zrobi ci się jeszcze lepiej, jak się wygadasz? Przecież ja zrozumiem. Wiem, co to znaczy cierpieć przez faceta...

– Taak... Pod tym względem obie niestety nie mamy szczęścia.

– Bo jedna z nas oczekuje od nich za dużo, a druga za mało – skwitowała z zadziwiającą przenikliwością Trący, po czym dodała: – Kochasz go, prawda?

Hallie bez słowa skinęła głową.

– To powiedz mu.

– Już to zrobiłam.

– I co on odpowiedział?

– Nie to, co chciałam usłyszeć.

Tego Trący się nie spodziewała. Na jej twarzy pojawił się wyraz ogromnego rozczarowania.

– Tak mi przykro...

– W życiu czasem tak bywa – zauważyła filozoficznie tonem Hallie. – Jakoś trzeba to znieść. Chodź, wracajmy do pracy.

Marc siedział za biurkiem, nerwowo bębniąc palcami po blacie. Od kilku dni nie mógł znaleźć sobie miejsca. Nie pomagało nawet patrzenie przez okno na ocean, którego widok zazwyczaj napełniał go spokojem i pomagał uporządkować w głowie różne rzeczy.

Od kilku dni nie chodził też do „Javy” na śniadanie, znalazł inny bar. Nie czuł się na siłach, by dalej widywać Hallie i za każdym razem doznawać dojmującego żalu na myśl o tym, co utracił. Z drugiej strony wiedział, że unikając jej, zachowuje się jak tchórz.

Próbował odzyskać album, żeby przynajmniej w ten sposób jakoś jej się

odwdzięczyć. Niestety, Madison znikł bez śladu. Natychmiast po rozprawie został zwolniony i od tamtej pory słuch o nim zaginął. Marc już trzy razy jeździł do San Francisco, lecz złodziej nie pojawiał się w swoim mieszkaniu.

Hallie tak na niego liczyła! Tak mu ufała... A on ją zawiódł. I to na całej linii.

Mocne pukanie do drzwi przerwało mu te niewesołe rozważania.

– Proszę! – zawołał, zadowolony, że coś odwróci jego uwagę od Hallie.

Do gabinetu wszedł burmistrz, Len Baker. Przywitali się. Dawny przyjaciel zajął miejsce na krześle po przeciwnej stronie biurka.

– Słuchaj, nie mam czasu, więc od razu przystąpię do rzeczy – zakomunikował.

– Wpadłem do McKinneya, żeby sprawdzić, jak on się czuje. Lepiej z nim, ale zdecydował się przejść na emeryturę. Potrzebujemy nowego szefa policji. Moim zdaniem świetnie się nadajesz. Cała rada miejska też tak myśli. To jest ich oficjalne stanowisko, zostałem upoważniony do złożenia ci tej oferty. Tobie zależało co prawda na tymczasowej robocie, ale może teraz zmienisz zdanie.

Marc był kompletnie zaskoczony. Przez długą chwilę milczał, analizując zupełnie nową sytuację.

– Szczerze mówiąc, nie wiem co ci odpowiedzieć – odezwał się wreszcie.

– Dlaczego? – zdziwił się Len Baker. – Wydawało mi się, że całkiem dobrze się tu zaaklimatyzowałeś.

– Mrugnął porozumiewawczo. – Słyszałem o tobie i o Hallie Fitzgerald.

Marc poruszył się nerwowo na krześle.

– To tylko plotki. Jesteśmy po prostu przyjaciółmi.

Nagle uderzyło go to, co powiedział. Rzeczywiście, uważał Hallie za prawdziwego przyjaciela, chociaż jeszcze nie tak dawno sądził, że przyjaźń z kobietą nie jest możliwa.

Len wstał z krzesła.

– Wiesz, co? Zastanów się nad tym spokojnie przez parę dni, nie ma potrzeby decydować od razu.

– Ale ja...

– Co nagle, to po diable – wygłosił sentencjonalnie Len. – Muszę już iść.

– Marc został sam ze swoimi niewesołymi myślami, od których tak bardzo chciał uciec. Wizyta Lena tylko powiększyła zamęt w jego głowie i w sercu. Faktycznie, zaaklimatyzował się w Promise. Miasteczko było spokojne, ludzie bardzo mili, a okolica, co tu dużo mówić, wyjątkowo piękna – ocean, wysokie klify, rozległe widoki. Czego chcieć więcej? No i gdzie znajdzie drugą taką kobietę jak Hallie? Taką miłą, dobrą i pogodną, tak podniecającą, tak zaskakującą? Taką,

która z radością stworzy mu pełen ciepła dom, da mu dzieci – jeśli tylko on będzie potrafił dać im obojgu choćby cień szansy...

Ale co z jego wolnością, której tak bardzo pragnął? Ma się jej wyrzec? Nie, nigdy. Trudno, za wolność zawsze trzeba płacić wysoką cenę. W tym wypadku będzie nią utrata miłości.

Czy warto ponieść aż taką ofiarę?

Marc nie wiedział. Nie znajdował żadnych odpowiedzi, za to pytań zjawiało się coraz więcej.

Czuł potrzebę wskoczenia na motor, pojeżdżenia po autostradzie wzdłuż wybrzeża, przewietrzenia głowy. Wyszedł z gabinetu, zostawiając w sekretariacie wiadomość, że za godzinę wróci. Pojechał do domu, narzucił swoją ukochaną skórzaną kurtkę i wyprowadził motor z garażu.

Po drodze postanowił jednak wpaść najpierw w jedno miejsce...

– Gus, mówię poważnie. Nigdzie z tobą nie idę. Zjeżdżaj.

Trący stała w progu ze skrzyżowanymi na piersiach rękami i mierzyła twardym wzrokiem swojego byłego chłopaka. Chudy młody człowiek z brodą, o zaczepnym wyrazie twarzy, bezczelnie minął ją i wszedł do salonu, ignorując obecną tam Hallie.

– No, pakuj się szybko, mała. Oboje wiemy, że chcesz, więc po co ta gadka?

– Nie chcę. Okłamałeś mnie i wpakowałeś nas w poważne kłopoty. Koniec z nami.

– Co ty, malutka? – spytał przymilnym tonem. – Jechałem po ciebie taki kawał drogi, a ty do mnie tak? Jesteś mi potrzebna, mam masę pomysłów...

Hallie wprawdzie nie zamierzała się wtrącać, w końcu Trący była dorosła i miała prawo sama załatwiać sprawy ze swoim byłym, ale nie wytrzymała.

– Nie rozumiesz, jak ktoś mówi „nie”? Dziwne, bo to bardzo proste słowo...

Odwrócił się ku niej z nienawistnym błyskiem w oku.

– Zamknij się – syknął jadowniczo. – To przez ciebie te wszystkie kłopoty. Najpierw nie dałaś jej kasy, a potem napuściłaś na nas gliny.

Trący wściekła się nie na żarty. Weszła do salonu i stanęła na środku, biorąc się pod boki.

– Nie waż się tak do niej mówić! Jak się natychmiast stąd nie wyniesiesz, zadzwonimy na policję!

Madison zaśmiał się nieprzyjemnie.

– Akurat! – parsknął drwiąco.

Szybko podszedł do Trący, niespodziewanie chwycił ją mocno za ramię i

pociągnął w stronę drzwi. Próbowwała się opierać, ale przy jej drobnej budowie była właściwie bez szans.

– Hallie! – krzyknęła rozpaczliwie.

Hallie błyskawicznie rozejrzała się dokoła. Jej wzrok padł na zabytkowy drewniany stojak na kapelusze. Złapała go i podbiegła nim.

– Puść ją, bandyto!

Madison nie słuchał. Już prawie udało mu się przeciągnąć Trący przez próg.

– Sam tego chciałeś!

Hallie zamachnęła się i z całej siły uderzyła go stojakiem w bark. Napastnik puścił ofiarę, przewrócił się, ale już chwilę później wstał i rzucił się na Hallie. Odskoczyła w ostatniej chwili i grzmotnęła go ponownie, tym razem w głowę. Upadł.

– Co tu się dzieje?!

Obie kobiety podniosły zaskoczony wzrok. Na werandzie pojawił się Marc. Hallie bez namysłu puściła stojak, skoczyła w jego stronę i wpadła prosto w jego szeroko rozwarte ramiona.

Trący ze zgrozą patrzyła na leżące na podłodze nieruchome ciało.

– Hallie, a jeśli ty go zabiłaś?

W tym samym momencie Gus jęknął i przekręcił się na plecy. Marc łagodnie odsunął Hallie na bok, podszedł do złodzieja i postawił mu stopę na piersi, przygważdżając go do podłogi.

– Właśnie cię szukałem – zagaił tonem towarzyskiej konwersacji.

W oczach Madisona pojawił się lęk.

– Hej, to boli!

– Tak? – zdziwił się uprzejmie Marc.

– Zabieraj tę girę!

– Najpierw mi powiedz, co ty właściwie tutaj robisz. Słucham...

– Próbował mnie porwać – oświadczyła Trący.

– Marc uniósł brew.

– O, to ciekawe.

– Bzdura – zarzęził z furią Madison. – Puszczaj, do diabła! Duszę się!

– Puszczę, ale nic za darmo. Powiedz, gdzie jest album, który zabrałeś z muzeum.

– Pierwsze słyszę.

Marc przycisnął go nieco mocniej, jednocześnie rzucając spojrzenie na Hallie i Trący.

- Moje drogie panie, czy możecie zrobić mi kawy? Chyba trochę tu postoję...
- Cholera, nic nie wiem o żadnym albumie, koleś!
- Wie – wtrąciła Hallie. – Opisał mi go przez telefon.

Słyszając to, Marc stracił cierpliwość i przestał się cackać z Madisonem. Cofnął nogę, schylił się, jedną ręką chwycił złodzieja za koszulę pod szyją i podniósł go do góry jak piórko. Zmierzył go swoim wyćwiczonym przez lata złowróbnym spojrzeniem, tym razem nie mówiąc już ani słowa. Ta metoda jak zwykle okazała się najskuteczniejsza. Przeszł się dosłownie zzieleniał na twarzy.

– Dobra, powiem... Wywaliłem go przez okno samochodu – zeznał pospiesznie Gus, nagle nabierając chęci do współpracy. – Wziąłem go, bo myślałem, że to coś cennego, a to był jakiś cholerny śmieć.

– Gdzie go wyrzuciłeś? – spytał Marc, a ton jego głosu sugerował, że tylko wyczerpująca odpowiedź go zadowoli.

– Na pobocze autostrady. Przy zjeździe na Harbor.

Marc sięgnął wolną ręką do tylnej kieszeni spodni, energicznie opuścił Gusa na ziemię, obrócił go jak piórko i błyskawicznie zatrzasnął mu kajdanki na przegubach.

– Jesteś aresztowany za napad i próbę porwania. – Przeniósł wzrok na kobiety.  
– Rozumiem, że tym razem wniesiecie przeciw niemu oskarżenie?

– Oczywiście! – zapewniła Trący.

Marc wyjął krótkofalówkę, rzucił do niej kilka krótkich rozkazów i już parę minut później pod domem zjawił się radiowóz. Gdy policjanci zabrali skutego Madisona, Marc skinął na Hallie.

– Ty pojedziesz ze mną.

– Tak jest, komendancie!

Wprawdzie wciąż jeszcze trzęsła się ze zdenerwowania, lecz była gotowa iść za nim choćby na koniec świata.

Przybył, żeby ją uratować. Jej bohater.

Zbiegli po schodkach i wskoczyli na jego harleya. Marc podał jej zapasowy kask. Hallie włożyła go i przytuliła się mocno do szerokich pleców ukochanego mężczyzny. Jego skórzana kurtka miała przyjemny zapach. Ruszyli.

Po niedługim czasie znaleźli się przy zjeździe, o którym mówił złodziej, Marc zjechał na pobocze i zatrzymał się. Rozejrzeli się dookoła. Porośnięte chaszczami i pełne wykotów nieużytki ciągnęły się jak okiem sięgnąć.

– To beznadziejne... – jęknęła Hallie.

Marc nie zamierzał się poddawać. Kopnięciem uruchomił motor.

– Pojadę wolno. Przyglądaj się uważnie, on to rzucał z drogi, więc może z drogi będzie widać. Jeśli nie, to zaczniemy sprawdzać każdy dół na piechotę. Na razie spróbujmy tak. Jak ten album wyglądał?

– Miał kremową, płócienną oprawę. Z wyhaftowaną różą.

Ruszyli. Z każdą upływającą chwilą Hallie coraz bardziej podupadała na duchu. Nagle podskoczyła na siodełku.

– Tam, spójrz na tamten krzak! – wskazała na uschnięty krzew niedaleko przed nimi.

Marc zatrzymał się, a Hallie zeskoczyła, pobiegła na pobocze i po chwili wyciągnęła spomiędzy gałęzi kremowy album. Na okładce widniała żółta róża. Hallie przekartkowała album.

– Brakuje trochę zdjęć, musiały wypaść przy wyrzuceniu. Na szczęście niewiele. Najcenniejsze zostały.

O, jest ślubna fotografia dziadków... I chrzest mojej mamy... – Uszczęśliwiona, spojrzała na Marca. Ten człowiek dokonał niezwykłej rzeczy. W pewnym sensie zwrócił jej utraconą przeszłość. W jej oczach zalśniły łzy. – Dziękuję.

Przy ciskając do siebie odzyskany album, podeszła do Marca i wtuliła twarz w jego muskularną pierś. Marc zamknął oczy i w duchu zmówił krótką modlitwę dziękczynną do Boga, choć nawet nie wiedział, czy w niego wierzy.

– Nie masz pojęcia, jak się bałem – wyznał. Hallie podniosła na niego zdumiony wzrok.

– Ty? Czego ty możesz się bać?

– Słyszałem odgłosy waszej szamotaniny z Madisonem. Przeraziłem się, że nie zdążę na czas. Ja... Ja nie wiem, co bym zrobił, gdyby coś ci się stało.

Zsiadł z motoru, wziął od Hallie album, położył go na siodełku, po czym objął ją mocno i stali tak na skraju pustego pola.

– Wiesz, co ci powiem? – szepnął jej do ucha.

– Co?

– Kocham cię.

Hallie aż otworzyła usta, lecz nic nie powiedziała, bo z wrażenia odjęło jej mowę.

– Skoro tak się bałem, że cię stracę, to chyba to musi być miłość, prawda? – ciągnął Marc.

Uśmiechnęła się do niego przez łzy.

– Chyba tak.

Owinął sobie wokół palca jeden jasnorudy lok.

– Dlatego przyjmuję twoją propozycję. Chcę mieć z tobą romans. Długotrwały. I na poważnie. Najlepiej, gdybyś wyszła za mnie tu i teraz, ale tego chyba nie da się zrobić.

– Żebyś wyszła za ciebie? – powtórzyła z absolutnym zdumieniem. – Ja przecież nie proponowałam małżeństwa.

– No to ja to teraz robię.

– A co z twoimi planami?

– Uległy zmianie. – Ujął ją mocno za ramiona. – W momencie, gdy zdałem sobie sprawę z tego, jak bardzo mi na tobie zależy i ile dla mnie znaczysz, zobaczyłem wszystko w zupełnie nowym świetle. Myślałem, że chcę podróżować, ale przecież będąc w marynarce nieustannie przenosiłem się z miejsca na miejsce. Bałem się zapaść gdzieś korzenie, by nie stracić wolności, ale czy taka ciągła ucieczka jest wolnością? – Zapatrzył się w przestrzeń. – Zawsze i wszędzie czułem się obco. Nie starałem się tego przełamać, bo wiedziałem, że zaraz i tak wyjadę, więc po co miałem – oswajać się z ludźmi i miejscem? W efekcie przez całe życie dręczyło mnie poczucie... pustki.

Hallie z największym współczuciem pogładziła go po policzku.

– Pomyślałem więc nagle, czemu by nie spróbować żyć jak inni ludzie? – ciągnął. – Ożenić się, mieć dom, dzieci... – Naraz zmarszczył brwi. – Chociaż wciąż nie jestem pewien, czy potrafię być dobrym ojcem.

– Będziesz wspaniałym ojcem.

– No, nie wiem. Straszny ze mnie choleryk. Mogę się okazać despotą i tyranem.

– Ale przecież ty potrafisz znakomicie nad sobą panować! Co z ciebie za despota! Czy ja się ciebie boję? Nie. I nasze dzieci też nie będą się ciebie wcale bać, uwierz mi.

Łypnął na nią z lekką urazą.

– No, właśnie. Dlaczego ty się mnie w ogóle nie boisz? Madison trzął się jak galareta, a to nie jest płochliwy baranek, tylko zatwardziały kryminalista. Czemu na tobie nie robię takiego wrażenia?

– A chciałbyś?

– Tak. Nie. – Zamilkł na chwilę, a potem przyznał cicho, niemal nieśmiało: – Nie...

– I to jest ten powód, o który pytasz. Tak naprawdę nigdy nie chciałeś, żebym się ciebie bała. Inni może tak, ale nie ja. Wyczułam to od początku. W rzeczywistości jesteś bardzo poczciwy – podsumowała z uśmiechem.

– Do licha, a to mnie przejrzałaś!

– Twoje szczęście... – mruknęła, splotła palce na karku Marca, przyciągnęła jego głowę do siebie i pocałowała go.

– W czulej pieśczoście przesunął wargami po jej policzkach, nosie, czole.

– Zostaję w Promise. McKinney idzie na emeryturę, zaproponowano mi jego posadę na stałe.

– To wspaniale!

Ujął jej twarz w dłonie i uśmiechnął się.

– To co z tym romanssem? Jesteś moja?

Odpowiedziała mu promiennym uśmiechem. Nareszcie jej życie poskładało się w sensowną całość.

– Oczywiście, że tak.